SMAK ZEMSTY

fragment thrillera przygotowywanego do druku

Słońce świeciło w okna tak mocno, że dłużej nie dało się już spać. Emilka pierwsza otworzyła oczy. Mocno wtulona w Piotra przez całą noc, oderwała się nareszcie od niego, zsunęła nogi z tapczanu i popędziła do łazienki.

W kilkanaście minut później obudził się Piotr. Uniósł głowę znad poduszki i uśmiechnął się. Naprzeciwko, przed otwartą szafą z wiszącymi sukienkami, stała nago jego piękna żona i przesuwała wieszaki raz w jedną, drugi raz w drugą stronę, nie mogąc zdecydować się na wybór.

- Piękna! – zawołał entuzjastycznie Piotr, wspierając się na łokciach, aby lepiej widzieć.

- Masz na myśli tę niebieską sukienkę? – zapytała udając, że nie wie, o co chodzi.

- Sukienkę? – Piotr roześmiał się głośno. – Przecież sama wiesz, że najlepiej wyglądasz bez żadnej sukienki i w ogóle bez niczego. Oby jak najdłużej!

- Robię, co mogę – zapewniła, nie odrywając wzroku od sukienek. – Tyle czasu spędzam na siłowni i u Janka na macie, że niebawem będę wyglądała jak kulturysta. Kręcą cię takie umięśnione kobiety?

- Jeżeli tymi umięśnionymi kobietami będziesz ty, to kręcą.

- No to sprawa z głowy! – pokręciła zalotnie pupą. – A czy wiesz, że przedwczoraj podciągnęłam się osiemnaście razy na drążku?

- Jeszcze trochę i wpadnę w kompleksy! – zawołał Piotr odrzucając kołdrę i zbliżając się do małżonki.

- A z setką na barkach robię już regularnie po pięć przysiadów w serii – dodała czując męskie ramiona ogarniające jej postać zachłannie od tyłu. – Biorę niebieską! – zawołała ze śmiechem i szarpnęła całym ciałem. – Piotrek, opanuj się! Muszę iść na zakupy, bo nie mamy nic na śniadanie.

Piotr westchnął i opuścił ramiona z rezygnacją.

- A już myślałem, że zaczniemy dzień dopiero od drugiego śniadania – oświadczył z żalem w głosie. – Chcesz, żebym cię zawiózł do sklepu?

- Nie, mam chęć na spacer. Przyjedź po mnie za godzinę, bo ja tam trochę pomieszkam.

Kiedy wychodziła z domu, na niebie świeciło jeszcze cieplejsze słońce. Emilka czuła się wspaniale. Miała kochającego męża, który ją podziwiał na każdym kroku, zarządzała barem,

który z czasem powinien przynosić jakieś dochody, uprawiała sport, doprowadzając sylwetkę do kształtów wręcz modelowych – czego jeszcze potrzeba do szczęśliwego życia!

A poza tym była ubrana w letnią sukienkę, wyglądała na tyle wiosennie, aby czuć się wspaniale i darzyć uśmiechem mijanych ludzi.

Jakiś samochód zatrzymał się przy chodniku obok niej. Odwróciła głowę i zauważyła dłonie trzymające rozłożoną mapę. Widocznie ktoś nie znał drogi i szukał jej na mapie.

- Proszę pani!

Uśmiechnęła się, wiedziała przecież, że poproszą ją o informacje. Podeszła do otwartego okna samochodu.

- Zgubiliśmy się – usłyszała męski głos. – Proszę pokazać na mapie, gdzie my jesteśmy!

Nachyliła się, wyciągnęła rękę, aby przyciągnąć mapę bliżej siebie i wtedy poczuła mocne uderzenie w twarz, a następnie gwałtowne szarpnięcie za włosy. Bez najmniejszych oporów z jej strony ktoś ogarnął ją ramieniem przez plecy. Nagle znalazła się we wnętrzu wozu, który natychmiast przyspieszył. Czyjaś ręka zatkała jej usta, czuła, że w tej pozycji, w jakiej leżała, nie było szans na oswobodzenie się.

- No i co teraz, ślicznotko? – usłyszała wreszcie głos, który prawie od razu zidentyfikowała. To był głos Pikola, tego samego, który kilka dni temu w barze został przez nią sromotnie poniżony.

Zrozumiała, że nadszedł jego czas na rewanż. Jeszcze nie czuła strachu, miała za to bezgraniczny żal do samej siebie. Jak można było dać się podejść w tak prostacki sposób?

Próbowała się uwolnić, ale trzymały ją dwie pary rąk, a jej głowa była ponadto przykryta jakąś szmatą albo kurtką. Wszystko wskazywało na to, że porywacze zamierzali przewieźć ją gdzieś w taki sposób, aby żaden przypadkowy przechodzień nie zauważył niczego podejrzanego w samochodzie. Spodziewała się już tylko wszystkiego najgorszego.

Tymczasem Janek Rewicz zaparkował właśnie samochód na rozległym parkingu supermarketu „Poziomka”. Wysiadł i udał się w stronę kas sklepowych. Rozejrzał się, od razu zauważył, że siostry nie ma. Postał jeszcze kilka minut, w końcu wziął koszyk i wszedł do środka, przemierzając szybkim krokiem upakowany stoiskami teren.

Kolejne pół godziny spędził znowu w samochodzie, w końcu jednak zdecydował się na powrót. Siostra mogła dawno wrócić, być może szybko zrobiła zakupy i ktoś znajomy podrzucił ją do domu.

W kwadrans później był już na miejscu.

-Emilka wróciła? – zapytał kelnerkę już od progu.

- Ja jej nie widziałam – odparła spokojnie Magda. – Może weszła z drugiej strony?

Tymczasem samochód, w którym trzej mężczyźni dosłownie upakowali porwaną z ulicy Emilkę, skręcał kilka razy, aż wreszcie zatrzymał się. Kierowca wyłączył silnik, porywacze wysiedli, czekając przy otwartych drzwiach samochodu. Emilka wsparła się najpierw rękami o podłogę, potem o fotel, usiadła na chwilę, żeby ochłonąć.

- Wysiadamy, panienko! – usłyszała donośny głos.

Zauważyła, że mężczyźni mają na głowach kominiarki, a przedtem ich nie nosili. Najpierw dociskali ją nogami do podłogi, aby nie zwrócić na siebie uwagi przechodniów, a teraz widocznie chodziło już tylko o to, aby zachować incognito. Pomyślała, że to dobry znak, bo jeżeli nie pokazują twarzy, oznacza to, że ma szanse wyjść cało z opresji. Tylko za jaką cenę? I dlaczego została przywieziona w to nieznane miejsce?

Szybkim spojrzeniem obrzuciła okolicę. Znajdowała się na terenie jakiegoś starego gospodarstwa wiejskiego. Z jednej strony stał drewniany dom z małymi oknami, z drugiej obszerna stodoła, jeszcze dalej obora albo chlew. W środku, na dużym podwórku wznosiła się studnia. Była zadaszona, a obok niej sterczał długi żuraw z wiadrem na łańcuchu.

- Idziemy! – zadecydował jeden z mężczyzn i wziął Emilkę pod ramię, po chwili z drugiej strony dołączył drugi.

Nie odzywała się. Szybko doszła do wniosku, że żaden lament nie poprawiłby jej sytuacji, natomiast zwiększyłaby się tylko psychologiczna przewaga bandytów. Postanowiła milczeć tak długo, aż sprawa zacznie być jasna.

Poprowadzili ją w kierunku otwartych wrót stodoły. Nie było sensu stawiać oporu, zresztą trzymali mocno, nie dałaby rady wyrwać się, gdyby taki zamiar wpadł jej do głowy.

Wnętrze stodoły było zawalone stertami paczkowanej słomy. Wzdłuż przeciwległej ściany widniało dość wąskie przejście prowadzące w najdalszy kąt zakończony otwartą drewnianą klapą w podłodze. Pod nią tkwiły schody prowadzące gdzieś w dół, w ciemność. Jeden z prześladowców zstąpił na drugi schodek, pociągając Emilkę za sobą, drugi zszedł w chwilę później.

Na dole panował półmrok, pachniało stęchlizną. Pod ścianą stało szerokie drewniane łóżko zawalone kocami. Cała przestrzeń piwniczna została kiedyś wsparta wzdłuż i w poprzek grubymi podmurówkami pełniącymi tu funkcję filarów podtrzymujących sklepienie. Dużo było tych ścian, bo piwnica też była obszerna. Pomyślała z gorzką ironią, że w razie potrzeby można by tu urządzić noclegownię dla bezdomnych, a nawet hotel dla ubogich turystów. Trzeba tylko uzupełnić ten labirynt ścian drzwiami i wszystko będzie gotowe na przyjęcie nowych gości.

Na razie jedynym gościem była ona, w każdym razie wiele wskazywało na to, że jakiś czas spędzi tu samotnie.

- Wieczorem zadzwonimy do rodziny i pogadamy o interesach – zawiadomił ją mężczyzna, jedyny, który się do niej odzywał. – A potem zobaczymy, co dalej. Aha! Jakby co, to tutaj nie warto krzyczeć, bo nikt nie usłyszy. Izolacja jest na tyle wystarczająca, że tłumi wszystkie odgłosy. Szkoda byłoby zdzierać gardło. To na razie tyle. Kibelek jest tam w rogu – dodał wyciągając rękę przed siebie. - Wieczorem będzie kolacja.

Kiedy wyszli i zamknęli od góry klapę, w piwnicy zapanowała ciemność.

Rozdział 25.

- Słuchajcie! – Marek Rewicz zacisnął pięści i trwał kilkanaście sekund w tej pozycji. – Jeżeli Emilka nie odnajdzie się do jutra, podam jej rysopis do telewizji!

- Jaki będzie z tego pożytek? – zapytał rzeczowo Janek.

- Ktoś ją zobaczy i da znać. To przecież proste, musimy wiedzieć, gdzie Emilka była widziana, a wtedy potraktujemy to miejsce jako bazę wyjściową. Co ty na to, Piotrek?

Piotr siedział bez słowa już od dłuższego czasu, miał zamknięte oczy i prawie nie słyszał dyskutujących braci. Wyobraźnia podpowiadała mu wszystko, co najgorsze, a umysł nie nadążał ze znalezieniem sposobu, który by go choć trochę uspokoił. Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy Marek zwrócił się bezpośrednio do niego:

- Masz jakiś pomysł?

- Nie wiem… - powiedział niepewnie. – To ty jesteś policjantem i wiesz najlepiej, jak znaleźć Emilkę. Mam jeszcze nadzieję, że to się dobrze skończy i że Emilka lada chwila pojawi się w domu.

- Może tak, a może nie. Wiecie co? – Marek podniósł się z miejsca. – Na razie zajmijcie się sobą, a ja złożę wizytę panu radcy. Cześć!

Machnął ręką i wyszedł.

Janek wstał i zbliżył się do okna.

- Do diabła! – zawołał z nieukrywaną złością. – Niech ktoś mi podpowie, co mam zrobić! Piotr, to ty jesteś mężem Emilki, wymyśl coś!

- W tej chwili tylko jedna myśl podtrzymuje mnie na duchu – powiedział Piotrek. – Wiem, że Emilka nie jest potulną parafianką, potrafi się obronić, jeżeli będzie trzeba i niebawem powróci cała i zdrowa. A na razie…

Telefon zadzwonił, zanim Piotr dokończył zdanie. Czyżby Marek już coś wiedział? Nie, tak szybko to raczej niemożliwe.

Janek podniósł słuchawkę. Piotr prawie przestał oddychać, doszukując się wyrazu ulgi w rysach twarzy szwagra.

- Tak, jestem Jan Rewicz – powiedział Janek do słuchawki. – Z kim mam przyjemność?

Piotr raczej odgadł, niż zrozumiał, o co chodzi rozmówcy. Przed nosem Janka potarł kciuk o palec wskazujący, Janek kiwnął głową, nie odrywając ucha od słuchawki.

- Dobrze – powiedział w końcu. – Musimy się jakoś zorganizować, ale to potrwa. Gdyby jednak mojej siostrze przytrafiło się coś… Hallo? Hallo! No tak – dokończył już spokojnie. – Drań odłożył słuchawkę.

- Ile zażądał? – Piotr przeszedł od razu do rzeczy.

- Pół miliona!

Rozdział 26.

Radca Jeżak wpatrywał się przez długą chwilę w twarz Marka Rewicza.

- Współczuję tobie, Jankowi i Piotrowi – powiedział. – W tej chwili jeszcze nie wiem, jak ci pomóc, ale… hmm… ale będę wiedział.

W kieszeni Marka Rewicza odezwał się telefon.

- Poczekaj! – wykrzyknął i nerwowo sięgnął do kieszeni. – Draństwo czuje się bardzo mocne, skoro atakuje rodzinę policjanta. Ale może już jest po kłopocie… hallo!

Jeżak obserwował twarz młodszego kolegi i po chwili był już pewny, co się stało.

- Dzwonił Janek! – wydyszał Marek po odłożeniu telefonu.

- Rozumiem – pokiwał głową Jeżak. – Ile chcą?

- Chcą dostać pół miliona albo bar. Podobno mają kupca.

- No tak – zgodził się Jeżak. – To już jest jakaś propozycja. Jeżeli jednak Emilka zdążyła rozpoznać któregokolwiek z nich, to nie ma gwarancji, że wyjdzie z tego żywa. Pamiętasz tamtą studentkę? Do dziś nikt nie wie, co się z nią stało.

- Pamiętam i dlatego czuję się bezsilny. Co radzisz?

- To, co zwykle robi się w takich wypadkach. Oni chcą załatwić sprawę jak najszybciej, a ty musisz im sprzyjać jak najwolniej. Ale pamiętaj, że są granice wytrzymałości u takich ludzi – ostrzegł na koniec. – Wracaj do domu, uspokój chłopaków, a ja powyglądam przez okno i postaram się coś tam zobaczyć.

Po wyjściu gościa Jeżak sięgnął do biurka i wydobył gruby plik papieru, który po rozłożeniu okazał się szeroką mapą terenu otaczającego miasto. Kiedy jeszcze służył w policji, korzystał z tejże mapy, aby uzmysłowić sobie możliwości bandytów w ukrywaniu łupów lub ukrywaniu samych siebie, gdy wokół nich robiło się gorąco.

Jeżak wodził obsadą długopisu po kolejnych punktach na mapie. Przypominał sobie miejsca, które sam widział oraz te, które opisywali mu zatrzymywani przestępcy. Ale jak odgadnąć miejsce zatrzymania Emilki? Trzeba by spenetrować kilkadziesiąt domów, zagród wiejskich, być może również altan rekreacyjnych, których nie brakowało w bliskiej odległości od rzeki. Samego miasta Jeżak nie brał pod uwagę. Dość szybko uznał, że byłoby to zbyt ryzykowne dla porywaczy, przecież wszędzie kręcą się ludzie, którzy mogą coś zobaczyć lub usłyszeć. Nie, to nie jest to!

Sięgnął po słuchawkę telefonu. Zdecydowanym ruchem wykręcił numer telefonu.

- Marek? – upewnił się automatycznie zaraz po usłyszeniu pierwszego „halo”. – Jeszcze jedna sprawa. Słuchaj uważnie! Trzeba zapytać w Wydziale Rolnym o transakcje sprzedaży i kupna gospodarstw rolnych, po prostu siedlisk w ciągu ostatnich pięciu lat. Potrzebna mi będzie lista takich transakcji.

- Dobrze. Na kiedy chcesz to mieć?

- A ty na kiedy chcesz mieć siostrę w domu?

- W porządku. O nic nie pytałem. Jutro będziesz miał, co trzeba.

- Nareszcie mówisz do rzeczy! – ucieszył się Jeżak. – Pozdrów Piotra i powiedz mu, żeby nie tracił nadziei, kiedy ja się do czegoś zabieram. Spotykamy się jutro o czternastej, bo wcześniej jestem umówiony z klientami. Cześć!

Rozdział 27.

Oczy przyzwyczaiły się już do ciemności, można było rozejrzeć się po otoczeniu, które zresztą nie było specjalnie zróżnicowane, bo pod niektórymi filarami stały paczki prasowanego siana, siano leżało też luzem w rogach tego przestronnego pomieszczenia, w jednym nawet było go więcej, a na samym wierzchu ciemnym kształtem odznaczały się jakieś

stare drzwi zbudowane z grubych desek. Emilka próbowała ruszyć je z miejsca, mając nadzieję, że kryje się tam jakieś podziemne wyjście, uniosła krawędź drzwi do wysokości kolan, w końcu jednak uznała, że są zbyt ciężkie i dała spokój.

Wdrapała się też po drabinie sięgającej sufitu. Na nic to się nie zdało. Usiłowała pchnąć w górę deski składające się na sufit, ale szybko stwierdziła, że to daremna robota.

Nie miała już najmniejszych wątpliwości, że została porwana i że porywacze będą negocjować z Markiem, Jankiem i Piotrem warunki jej uwolnienia. Ciekawe, ile zażądają?

Na razie nic się nie dzieje, porywacze poszli sobie, obyło się bez ekscesów, potraktowali ją jak zamienny towar albo coś w tym rodzaju, dbając zapewne o to, aby ten towar nie stracił na wartości przed dokonaniem ostatecznej transakcji.

Próbowała odgadnąć, ile czasu spędzi w tej podziemnej przestrzeni przesyconej stęchlizną. Gdyby przynajmniej powietrze było czyste! Przywykła wprawdzie do bardziej natlenionych pomieszczeń, ale trudne sytuacje też nie były jej obce, tym bardziej że za sobą miała wiele lat ćwiczeń wspinaczki górskiej, penetracji podwodnych jaskiń, a także wymagającego dużej wszechstronności treningu judo. Postawiła na wszechstronność, więc nie została mistrzynią w żadnej z tych konkurencji, ale sztukę przetrwania opanowała na tyle, żeby nie tracić głowy w najtrudniejszych sytuacjach.

Zaczęła wyliczać na palcach etapy przewidywanych negocjacji między bandytami a braćmi i mężem. Pomyślała, że bandyci trochę odczekają, zanim dadzą o sobie znać, bo wiedzą, że im dłużej rodzina martwi się o jej los, tym łatwiej będzie nakłonić drugą stronę do ustępstw. Tak może upłynąć jeszcze jeden dzień albo i dwa, chyba że prześladowcy mają przysłowiowy nóż na gardle albo coś w tym rodzaju, a wtedy zaczną działać jak najszybciej.

Kolejny dzień zejdzie Markowi nad wyborem najlepszej drogi wyjścia z trudnej sytuacji. Emilka stawiała przede wszystkim na Marka, bo był najstarszy i najbardziej doświadczony, a poza tym jako absolwent prawa i były słuchacz szkoły policyjnej ma w rękach bogaty wybór alternatywnych rozwiązań. Janek nie ma żadnych doświadczeń tego rodzaju, a Piotr jest zbyt delikatny i wrażliwy życiowo, żeby w ogóle podejmować trudne decyzje w kwestiach ekstremalnych.

Usiadła na szerokim wyrku. Można będzie spać tu wzdłuż lub w poprzek, ale jak spać, skoro nie wiadomo, w którym kierunku potoczą się jej losy! Przecież Marek nawet nie wie, gdzie ona się znajduje. Nawet gdyby policjanci obstawili wszystkie kąty i zaczęli szukać miejsca, w którym jest przetrzymywana, to i tak nie ma gwarancji, że kiedykolwiek ją znajdą. Jedyna nadzieja w Marku, który musi jakoś ułożyć się z bandytami.

Usłyszała nagły rumor. Zapewne otworzyła się ta sama klapa, przez którą sprowadzono ją na dół. Na wszelki wypadek postanowiła udawać wystraszoną i zmęczoną. A nuż jej stan psychiczny zmyli czujność prześladowców? Może zostawią otwartą klapę u góry?

Uniosła powoli głowę dopiero w momencie, kiedy dostrzegła mężczyznę stojącego naprzeciw niej i trzymającego w jednej dłoni talerz wypełniony jedzeniem, a w drugiej butelkę z wodą. Zauważyła też, że mężczyzna miał na głowie kaptur, a jego usta były zasłonięte chustką albo szalikiem. Za nim stał drugi mężczyzna, również zamaskowany. Odetchnęła. Skoro nadal się maskują, oznacza to, że na razie nikt nie zrobi jej krzywdy i że po uzyskaniu zapłaty chcą pozostać anonimowi. Może jednak wszystko ułoży się tak jak to sobie wyliczyła na palcach?

Mężczyzna postawił posiłek na podłodze, odwrócił się do tego drugiego, a po chwili usłyszała najpierw ich kroki na drabinie, a jeszcze później doszedł ją stłumiony huk opadającej klapy.

Rozdział 28.

Radca prawny Tomasz Jeżak pochylił głowę nad pakietem dokumentów przyniesionych przez komisarza Marka Rewicza. Dostał do przejrzenia kilkanaście kartek z wyszczególnieniem nazwisk i wiosek, do jakich te nazwiska zostały przypisane.

Rewicz rozsiadł się wygodnie w fotelu przewidując, że przegląd zajmie mnóstwo czasu jego dawnemu koledze z pracy. Tymczasem Jeżak szybko przesuwał palec przy każdym nazwisku i zaraz odwracał kartkę, zabierając się do przeglądu następnej.

- Widzę, że lekko ci to idzie! – mruknął Rewicz, nie mogąc powstrzymać nerwowego drżenia kolan. – Kojarzysz coś?

- Jest mój niedoszły przyjaciel z aresztu. Nazywa się Wujkowski. Coś ci to mówi?

Rewicz wzruszył ramionami.

- Nazwisko jak nazwisko… zaraz! Czy to jest ten sam, który kiedyś ułatwił Kamieniarzowi odfrunięcie z aresztu na swoją przepustkę?

- Ten sam. Byli bardzo podobni do siebie, przypuszczam, że nadal są. Wujkowski dostał później rok dodatkowo za ten wyczyn, Kamieniarza wciąż nie możecie odnaleźć, podejrzewam, że chłopcy kupili sobie gospodarstwo na cele, że tak się wyrażę, służbowe.

Zajrzał jeszcze raz do inwentarza nazwisk i zrobił zdziwioną minę.

- Nie wiem tylko, dlaczego nazwisko „Wujkowski” jest tutaj zapisane dwa razy w tej samej wiosce… Pod… Podparcice! Dziwna nazwa, ale mniejsza z tym. Dlaczego dwa razy?

- To proste – skrzywił się Rewicz. – Powiedziałem „szybko”, więc dziewczyna w pośpiechu zapisała dwa razy i to wszystko. Co robimy?

- Jedziemy tam.

Opuścili biuro i wsiedli do samochodu Jeżaka. Kiedy już dał się słyszeć szum motoru, Jeżak powiedział:

- Spójrz dyskretnie na drugą stronę ulicy. Widzisz tam kogoś? Ten człowiek szuka guza. Długo już szuka, raz znalazł, ale nie odpuszcza.

- Redaktor Sopel! Może zostałby dobrym policjantem? Może on już wie, gdzie szukać Emilki? Niech ją odnajdzie!

- Pobożne życzenie! – wydął usta Jeżak. – Spieprzyłby wszystko, zanim by dotarł do celu. Ale niech węszy! Niech bandytom wydaje się, że to on ma ich na oku. Dobra, jedziemy!

Ruszyli za miasto.

- Wiesz co? – odezwał się znowu Jeżak. – Tą drogą jechałem kilka lat temu w pościgu za bandytami, którzy zamordowali mi dziecko.

- Rozumiem, że nadal cię to gryzie… - pokiwał głową Rewicz.

- Nie. Ja już przetrawiłem stratę dziecka, bo nie miałem innego wyjścia. Nie mogę jednak pogodzić się z myślą, że bandyci okazali się nieuchwytni. Czasem nie mogę zasnąć z tego powodu. – Jeżak puścił na chwilę kierownicę i zacisnął pięści. – No dobrze. Teraz mamy co innego na głowie. Uważaj na drogowskazy! Tu gdzieś powinna być ta wioska.

Po lewej i prawej stronie widać było budynki rozrzucone w dużej odległości od siebie i ogradzające je drewniane płoty, a także kępy drzew uniemożliwiające dokładny ogląd gospodarstw z daleka.

- Miejsce jest w sam raz – ocenił z uznaniem Jeżak.

- W sam raz na co?

- Na wszystko. Na dziuple dla kradzionych samochodów i na prywatny areszt do momentu, w której przyjedzie kasa za porwaną ofiarę. Tu można ugotować obiad, można zrobić wszystko bez ryzyka, że sąsiad zajrzy ci do garnka.

Z przeciwka nadjeżdżał starszy człowiek na rowerze. Zwolnił, dojeżdżając do samochodu.

- Proszę pana, jak trafić do Wujkowskiego? – zapytał Jeżak.

- Wujkowski? – chłop zdjął czapkę i powachlował się nią przez chwilę. – Podobno jest taki, przynajmniej ludzie mówią, że jest, ale ja go nie widziałem. On tu kupił gospodarstwo po takim jednym kilka lat temu…

- A gdzie jest to gospodarstwo?

- A tam – chłop odwrócił się i pokazał ręką widoczną kępę drzew w odległości kilkuset metrów. – Ale nie wiem, czy ten gość tam jest.

Zboczyli z głównego traktu w wąską piaszczystą dróżkę. Na piachu słabo odcinały się ślady opon.

- Ktoś tędy jechał – zauważył Rewicz – ale trudno ustalić, czy dziś, czy wczoraj albo jeszcze wcześniej.

Wysiedli przed zamkniętą furtką, rozglądając się na wszystkie strony. Na ścianie, wysoko pod eternitowym dachem, widniała blaszana tabliczka z napisem „Podparcice nr 20, Wujkowski".

- No to jesteśmy w domu – uznał za stosowne powiedzieć Jeżak. – Trzymaj broń w pogotowiu, ale dyskretnie, żeby nikogo nie spłoszyć.

Otworzyli furtkę i weszli na rozległe podwórko. Naprzeciw domu, po drugiej stronie podwórka, widać było studnię zasłoniętą typowym wiejskim daszkiem. Z boku za domem mieszkalnym stała obora, a na wprost domu, ale kilkadziesiąt metrów dalej mieściła się duża stodoła kryta strzechą.

Jeżak zapukał do drzwi. Nie było żadnego odzewu. Odruchowo nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Rewicz włożył prawą rękę do kieszeni, zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu. Weszli do środka.

- Drzwi otwarte jak za dawnych dobrych lat – stwierdził szeptem Rewicz. – Czyżby w tej wiosce wyginęli wszyscy złodzieje?

Z kuchni przenieśli się do pokoju, za którym był jeszcze jeden pokój. Wszędzie panował porządek, jak gdyby nikt tutaj nie przebywał.

Przenieśli się na podwórze. Weszli do obory, a następnie do stodoły. Resztki siana zasłaniały podłogę utwardzoną na środku betonem. Dostrzegli klapę prowadzącą gdzieś w dół. Rewicz podniósł ją, w świetle dnia ukazały się schody, dalej była tylko ciemność.

- Piwnica! – mruknął zniechęcony. – Zobaczymy, co tam jest?

- Gdyby coś miało tam być, w klapie błyszczałaby kłódka, a my bylibyśmy na muszkach nieznanych sprawców – smętnie odparł Jeżak. – Pudło! Nie trafiliśmy, gdzie trzeba.

Wyszli na zewnątrz. Rewicz sprawiał wrażenie człowieka zupełnie załamanego. Trzymał pochyloną głowę i stał w miejscu, nie mając ochoty ruszyć gdziekolwiek. Jeżak

wyminął go i zbliżył się do płotu okalającego podwórko. Widniała tam jeszcze jedna furtka, prowadząca tym razem na pole. Za furtką ciągnęła się dróżka mająca swój koniec gdzieś w polu, w którym poutykane były zagrody podobne do tej, w której teraz przebywali. Obok najbliższej, dostrzegalnej stąd zagrody widać było stojącą furgonetkę. Ktoś z niej wyszedł i skierował się w stronę domu, ale było zbyt daleko, żeby kogoś w nim rozpoznać, zresztą to już nie miało znaczenia. Ostatecznie wokół każdego domu ktoś się kręci, co jednak nie zmienia sytuacji, że przyjeżdżając tutaj, trafili kulą w płot. Wujkowski gdzieś istnieje i coś robi, może akurat więzi siostrę Marka Rewicza, ale na razie… na razie niech to szlag trafi!

Rozdział 29.

Emilka pogubiła się z czasem. Siedziała na szerokim wyrku, wypatrując w zmroku jakiejś dziury, przez którą mogłaby wyskoczyć i zniknąć, ale wszystko kończyło się na marzeniach. Od czasu do czasu ogarniał ją tylko dreszcz pełen złości na samą siebie za to, że dała się podejść bandytom w tak głupi sposób. Po co wsadzała głowę do samochodu? Dlaczego nie zażądała, żeby któryś z tych ludzi podał jej mapę na zewnątrz, obok auta?

Zastanawiała się też nad inną kwestią. Czy została przypadkową ofiarą, czy po prostu polowali specjalnie na nią? Po wizycie Kwadrata, Pikola i tamtych dwóch w barze można było spodziewać się wszystkiego, wszak żaden szanujący się bandyta nie może darować sromotnej porażki doznanej ze strony kobiety. Pikolo postawił się, próbując zrobić najlepsze wrażenie na kolesiach, a fiknął jak zwykły harcerzyk. Hańba! A skoro teraz Pikolo jest wmieszany w uprowadzenie jej, to zrobi wszystko, aby zmyć doznaną hańbę i znowu błyszczeć w półświatku.

Ruszyła na kolejny obchód dookoła piwnicy.

Zatrzymała się przy dużej kupie siana nakrytej grubymi drzwiami, takimi jakie zakłada się w pomieszczeniu, do którego osobom obcym niełatwo byłoby się dostać. Aż trudno sobie wyobrazić, jak ktoś mógł tu przenieść coś takiego, ale z pewnością nie zrobił tego jeden człowiek. Dostrzegła ciemny kształt klamki. To była duża klamka, gdyby udało się wyjąć ją z płaskiej oprawy, Emilka miałaby coś na wypadek zagrożenia. Ba, aby ją wyjąć, potrzebny jest mocny śrubokręt, a to była ostatnia rzecz, o jakiej można pomarzyć. Chyba że da się coś znaleźć pod spodem, na samym dnie!

W pewnej chwili doznała niewielkiego olśnienia. Przecież wyjętych drzwi nie rzuca się z natury rzeczy na kupę siana, raczej opiera się je o ścianę w pozycji stojącej. Jeżeli tak być

powinno, a tak nie jest, to może drzwi zostały ułożone tu specjalnie, aby coś przykryć? Może pod sianem są narzędzia, a może nawet broń?

Szarpnęła za kant drzwi, usiłując przesunąć je na bok. Okazały się drańsko ciężkie, ale odsłaniały stopniowo coraz większą powierzchnię ubitego siana. Zaczęła je rozgarniać, zanim udało się jej przesunąć ciężkie drzwi zupełnie na bok. Było trudno, bo siano trzymało się w postaci zlepionej warstwy, więc w pewnej chwili Emilka po prostu usiadła i powiedziała głośno, chociaż znikąd nie mogła liczyć na wyrazy współczucia:

- No, to się napracowałam! Niech tu ktoś przyjdzie i zapyta mnie, po co to robię!

Nikt nie przyszedł, nikt nie zapytał. Poczuła się osamotniona jeszcze bardziej niż dotychczas. Odpoczywała jeszcze przez dwie, może trzy minuty, westchnęła głęboko, zacisnęła zęby, skierowała spojrzenie na ciężar, który ją tak wyczerpał i z nową energią rzuciła się jeszcze raz do dzieła, którego dotąd nie udało się dokończyć.

Tym razem jednak ze zdumieniem odkryła, że drzwi ześlizgnęły się dość łatwo, najpewniej dlatego, że w trakcie ich dotychczasowego przesuwania prasowane snopki uległy pochyleniu na skos. Wystarczyło popchnąć ciężar resztką sił, aby niemal zupełnie odsłonić powierzchnię złożoną z zielonych brył, przewiązanych sznurkiem tak mocno, że nie dało się nawet palca wsunąć pod ten sznurek.

Zwaliła na dół całą warstwę, a następnie dobrała się już tylko do siana leżącego luzem.

Zastygła w chwili, gdy lewą dłonią dotknęła czegoś zimnego. Odruchowo oderwała dłoń i stanęła bez ruchu. W pierwszej chwili pomyślała, że to broń, obraz broni miała w oczach jeszcze przed kilkoma sekundami, a także przez cały czas grzebania się w tym stosie. Nabrała powietrza do płuc i powoli opuściła dłoń w to samo miejsce, nadal nie odsłonięte.

Poczuła, jak jej drętwieje całe ciało. To nie był metal. Dłoń Emilki wymacała ludzkie ciało. Ucho, policzek, oko, nos. Czyjąś twarz!

Rozdział 30.

Po niemal bezsennej nocy w pomieszczeniach mieszkalnych baru „Placek” panowała cisza, przerywana tylko gwałtownym bulgotem podgrzewanej wody na kawę. Marka dawno już nie było, Janek trzymał kamienną twarz, za to Piotr chodził z jednego końca pokoju w drugi, zaciskał pięści, przystawał na chwilę koło drzwi, opierał głowę o framugę, postukał w nią kilka razy dłońmi, odpychał się i znowu ruszał w powrotną drogę na przeciwległy kraniec.

- Jest kawa! – mruknął w pewnej chwili Janek i postawił jedną filiżankę na stole, drugą uniósł do ust.

Ktoś zapukał do drzwi. Dopiero wtedy spojrzeli w tamtą stronę.

Weszła kelnerka Maryla.

- Przyszedł jeden z tych… - poinformowała od progu. – Kwadrat.

Kwadrat siedział w kącie, bawiąc się kluczykami od samochodu. Wstał na widok obydwu mężczyzn, kiwnął głową, co miało oznaczać przywitanie, ale zaraz usiadł ponownie.

Janek i Piotr usiedli naprzeciw niego, wypatrując jakichś wiadomości z twarzy gościa.

- Janek, znamy się trochę, więc wiesz, że nie jestem przeciwko tobie – zaczął Kwadrat. – Przyszedłem tu jako posłaniec. Mogli wybrać kogoś innego, wybrali mnie.

- No dobrze – Janek spokojnie przyjął tę deklarację lojalności. – Mów, o co chodzi twoim kolesiom.

- Chcą pieniędzy! – powiedział szybko Kwadrat. – Ale to nie są moi kolesie! – dodał z pretensją w głosie. – Oni płacą, ja zarabiam. Sam rozumiesz, pieniądze nie śmierdzą.

- To prawda. Więc w czym rzecz?

- Chcą podesłać tutaj gościa, no i ten gość spisałby z wami dokument kupna-sprzedaży.

- Rozumiem. A jak czuje się moja siostra? Gdzie ona w ogóle jest?

- Powiedzieli, że w porządku. Krzywdy nie ma. Dostaje jedzenie i czeka na załatwienie sprawy. Pytasz, gdzie jest? Nie wiem. Rozmawiali ze mną na mieście.

- Aha – Janek zmarszczył brwi, zastanawiając się jednocześnie, co można jeszcze wyciągnąć od Kwadrata. – Nie boją się, że atak na rodzinę policjanta ściągnie im na głowy całą policję?

- To są desperaci, a nie myśliciele.

- Kim są? Tymi gośćmi, którzy niedawno byli u nas z tobą?

- Ze mną byli cieniasy, a tam rządzi mocny gość. Ten gość wysłał do mnie cieniasa. Mam ustalić z wami termin. Oni chcą szybko, to są nerwowi ludzie.

- Nerwowi? – zdumiał się Janek. – Praca w takim biznesie wymaga opanowania. Dużo zrobiliście już takich porwań?

- Janek! – Kwadrat aż się pochylił nad stołem. – Ja już ci mówiłem, że to nie moja działka. Przyszli do mnie, bo wiedzieli, że cię znam. Mogli wysłać kogoś innego.

- Powiedz przynajmniej, ile ci zapłacili.

- A na co ci taka wiadomość?

- Może mógłbym przebić stawkę, a ty zrobiłbyś coś dla nas.

Kwadrat zaniemówił na chwilę. Wyglądało na to, że nie spodziewał się takiej oferty. Uniósł barki do wysokości uszu, obniżył głowę, popatrzył na Janka bykiem i rzekł:

- Już na drugi dzień twój brat znalazłby mnie gdzieś na śmietniku z dziurą w głowie!

Było jasne, że krok dalej jest już tylko ściana.

- Umawiamy się na jutro – powiedział Janek. – Przez ten czas naradzimy się z bratem, jak to zrobić.

- To dobrze – pochwalił Kwadrat. – Widzę, że już pojąłeś do końca, o co chodzi.

- Do końca to nie. Chyba nie zgadnę, dlaczego akurat ciebie w to wmanewrowali.

- To prawda, nie zgadniesz – przytaknął Kwadrat wstając z miejsca. – Ja też jeszcze nie zgadłem, przynajmniej do tej pory. Ale jak dobrze pójdzie, to w końcu zgadnę. Cześć wam!

- Dotychczas wydawało mi się, że potrafię znaleźć wyjście z każdej sytuacji – odezwał się wreszcie Piotr śledząc wzrokiem plecy niemiłego gościa. – Teraz moja żona dostała się w łapy bandytów, a ja jestem bezsilny. Jasna cholera! Aż nie wierzę samemu sobie!

Rozdział 31.

Nie wiadomo, czy był to poranek, czy wieczór, bo wciąż panowała ta sama ciemność, która towarzyszyła jej od początku. Emilka obudziła się nie mając pojęcia, jak długo spała, czuła tylko chłód na całym ciele i pragnienie, aby jak najszybciej się rozgrzać.

Podniosła się z prowizorycznego posłania zamierzając wykonać jakąś gimnastykę, kiedy nagle przypomniała sobie, co odkryła wczoraj, w każdym razie zanim jeszcze zasnęła, pod stertą prasowanego siana i nagle zrobiło jej się tak gorąco, jakby gimnastykę miała już za sobą. Przez kilkanaście sekund zastanawiała się nawet, czy to nie był sen. Ta zimna twarz, długie włosy, piersi… Czy to możliwe? Nie, trzeba to sprawdzić jeszcze raz!

Zrobiła kilka kroków w stronę makabrycznego znaleziska i zaraz zatrzymała się, bo nad głową dały się słyszeć stłumione kroki, a w chwilę później ktoś otworzył klapę. Szybko zorientowała się, że tym razem trzy albo cztery osoby złożą jej wizytę. Może to już koniec mordęgi w tych ciemnościach?

Było ich czterech. Stanęli naprzeciw niej, jeden trzymał latarkę na naftę, taką jakiej kiedyś używali rolnicy wchodzący do ciemnej obory. Knot palił się jasnym światłem, oświetlając nie tylko ją, ale również sylwetki mężczyzn. Mieli zamaskowane twarze, co nadal mogło oznaczać, że jej szanse na wyjście cało z opresji są aktualne.

- Niedobrze, panienko! – oświadczył nagle najpotężniejszy z mężczyzn. – Twoja rodzina nie spieszy się z zamiarem uwolnienia ciebie z tego zakątka spokoju, do jakiego los cię pokierował.

- Nie los, ale wy mnie tu ukryliście – powiedziała, starając się zachować spokój. – Mam nadzieję, że rodzina zrobi wszystko, aby mnie stąd uwolnić.

- Niestety, ociągają się z wypłatą – oświadczył mężczyzna już po prostu, bez użycia poetyckich metafor. – Musisz ich pogonić.

- Jak mam to rozumieć?

- Powiesz kilka słów do mikrofonu, ale tak, żeby natychmiast skołowali kasę.

W pierwszej chwili zamierzała odmówić, jednak zaraz doszła do wniosku, że trafia się okazja poinformowania chłopaków, gdzie ją bandyci trzymają. Nie poda adresu, bo go nie zna, ale jeżeli zdąży wykrzyczeć, że jest w jakiejś piwnicy na wsi, to być może będzie znaczyło o wiele więcej niż nic.

- No dobrze – udała skruszoną. – Co mam mówić?

- Powiedz, że albo kasa, albo więcej cię nie zobaczą. To chyba proste, nie wydaje ci się?

- Wydaje – powiedziała i wyciągnęła rękę. – Proszę o telefon.

Mężczyzna roześmiał się pogardliwie.

- Tu będziesz mówić! – zarządził tonem, jakiego dotychczas nie używał. – Do mojej dłoni!

Wykręcił numer, odczekał chwilę, przyłożył telefon do ucha, znowu odczekał, wreszcie dało się słyszeć nerwowe „halo”.

- Cześć! – powiedział mężczyzna. – Będzie telefon do ciebie! Tylko słuchaj uważnie, bo będzie nieszczęście!

Nie spiesząc się, wyciągnął rękę ku twarzy Emilki, na tyle blisko, aby mogła się porozumieć.

- Mów! Jan Rewicz.

Przełknęła ślinę. Już wiedziała, od czego zacznie, wiedziała również, w którym momencie skończy mówić nie z własnej woli.

- Janek? Słuchaj, oni grożą, że mnie zabiją, jeżeli… - nabrała powietrza w płuca, spojrzała na swojego prześladowcę, dostrzegła zachęcające kiwnięcie głową. - … jeżeli… piwnica wiejska, gospodarstwo! – wrzasnęła z całych sił, a w chwilę później otrzymała mocny cios w twarz i upadła na łóżko.

- Ach, ty głupia dziwko! – nie wytrzymał mężczyzna, który ją uderzył. – Zachciało ci się iść na całość? Zaraz zobaczysz, czym to się kończy. – odwrócił się do kompanów. – Przywiążcie ją do wyrka!

Próbowała stawiać opór, ale była jeszcze trochę zamroczona po uderzeniu i została szybko obezwładniona. Dwaj bandyci przytrzymywali ją za ręce, podczas gdy trzeci wyciągnął z jednej kieszeni gruby bandaż, z drugiej nóż sprężynowy, przeciął bandaż na pół i bez pośpiechu przywiązał obydwa jej nadgarstki do rogów drewnianego wyrka. Nogi pozostawili wolne, ale to akurat nie miało już znaczenia. Leżała unieruchomiona i całkowicie zdana na łaskę bandytów.

- No i co? – zapytał drwiąco ten, który rozmawiał z nią od początku. – Warto było?

- Warto! – krzyknęła ze złością. – Teraz będą wiedzieli, gdzie jestem!

- Bo ja wiem? – mężczyzna odzywał się już spokojnie jak na początku. – Co to jest piwnica wiejska? W każdym gospodarstwie jest piwnica, ale nie każdy musi do niej trafić. A do nas wcale nie ma dobrego dojazdu. Za to mamy dobry dojazd tutaj! – wykrzyknął na koniec, uniósł jej sukienkę i bez wahania wpakował dłoń w majtki dziewczyny.

Automatycznie, bez najmniejszej chwili zastanowienia się napięła mięśnie całego ciała i wykonując błyskawiczny zwrot tułowiem trzepnęła stopą prawej nogi dokładnie w ucho bandyty. Uderzenie było tak silne, a do tego zadane szpiczastym czubem pantofla na niewielkim koturnie, że potężnie zbudowany mężczyzna upadł jak kłoda, uderzając na dodatek głową o posadzkę.

Trzej kompani odruchowo ryknęli śmiechem, ale zaraz przestali się śmiać, bo jednak szef wcale nie od razu mógł zmienić pozycję na bardziej prestiżową. Stali, czekali, ten, który trzymał latarkę, podniósł ją wyżej próbując oświetlić dokładniej głowę leżącego, minęło dobre pół minuty, zanim człowiek zaczął się ruszać, zresztą niezbyt energicznie.

- A to dziwka! – odezwał się wreszcie któryś z trójki, a Emilka natychmiast skojarzyła ten głos z przedwakacyjną wizytą czterech nieproszonych gości w barze „Placek”. Tak, nie miała wątpliwości – to jest Pikoliński, dla swoich Pikolo!

Martwić się zaczęła w chwilę później, gdy szef bandy, jak go określała w myślach, podjął udaną próbę podniesienia się z ziemi. Trochę chwiał się, ale nie wyglądał na speszonego. Chrząkał tylko, starając się wyregulować zdolność głośnego wyrażania myśli.

- Pełny szacun! – zameldował, gdy tylko odzyskał głos. – Słyszałem, ale nie wierzyłem – dodał kiwając rytmicznie głową. – Teraz wierzę, ale… - potarł dłonią tył głowy – dlaczego tak mocno?

- Jakoś musiałam się bronić – odparła ostrożnie, aby nie pogarszać swojej sytuacji. – Każda by się broniła.

- Każda? – wzruszył ramionami. – Każda to nie – pokręcił głową. – Powiem tylko, że w innych okolicznościach miałabyś moje duże uznanie. Szkoda, że tego nie rozumiesz, ale ja zawsze kończę to, co zaczynam. No dobrze. To tyle na dziś. Poleżysz trochę w tej pozycji, a my tymczasem spróbujemy dogadać się z komisarzem Rewiczem. Damy mu szansę!

Zrobił gest oznajmiający powrót na górę. Człowiek z latarką poświecił najpierw sobie pod nogi, a potem podniósł latarkę wysoko w górę i oświetlił wszystkie kąty.

Emilka zamarła. Światło padło na stertę rozgrzebanego siana i na leżące obok drzwi.

- Ty! – zawołał nagle Pikolo. – Nie jest dobrze!

- Co nie jest dobrze? – zapytał szef.

- Tam! Dawaj latarkę! – głos Pikola dźwięczał już prawdziwym niepokojem. – Latarka!

Całą czwórką podeszli do miejsca, gdzie pod sianem leżały zwłoki kobiety. Emilka przestała na chwilę oddychać. Co za fatalny pech! Po co w ogóle rozgrzebywała to siano? Po co miesza się w bandyckie życie, kiedy to jej życie wisi na włosku? Oczekiwała już tylko wszystkiego najgorszego. Nikt nie zdąży odnaleźć jej tutaj żywej!

- Niedobrze, panienko! – usłyszała głos szefa w chwilę później. – Ciekawość kosztuje! Myślałem, że się dogadamy, ale teraz to już będzie inna rozmowa. Do zobaczenia!

Rozdział 32.

Wiał silny wiatr, ludzie osłaniali rękami głowy i szyje, sprzedawcy warzyw i owoców na miejskim targowisku raz po raz mocowali zerwane płachty osłaniające ich dobytek.

Środkiem alejki ciągnącej się wzdłuż szeregu drewnianych budek z owocami i warzywami przemieszczała się powoli beżowa furgonetka. Po jednej stronie miała szyby zamknięte, za to po drugiej opuszczone do samego dołu. Jeżeli ktoś przypadkiem skierowałby spojrzenie do wnętrza wozu, dojrzałby nieruchome kontury głów ozdobionych dużymi, ciemnymi okularami.

Akurat z przeciwnej strony zbliżała się grupa dziewcząt. Było ich najpierw cztery, ale w pewnej chwili jedna powiedziała głośno „cześć” i skierowała kroki w bok, zanim jeszcze furgonetka zrównała się z jej koleżankami.

Samochód zwolnił jeszcze bardziej, kierując się w taki sposób, aby uniemożliwić idącym z przeciwka dziewczynom przejście szerokim rzędem, musiały mijać wóz jedna za

drugą, ostrożnie, aby nie zawadzić o karoserię. Szły więc gęsiego bez oglądania się do tyłu, zresztą bardziej zajęte były przytrzymywaniem połów płaszczy, które rozwiewały się na boki, unosząc przy okazji letnie sukienki i obnażając wysoko nogi.

Trzecia z grupki nawet nie dostrzegła wysuniętych z okna wozu ramion, które zablokowały jej przejście. Poczuła je, gdy ktoś uniósł ją gwałtownie z ziemi i wciągnął gwałtownie do środka. Nie zdążyła krzyknąć, bo czyjaś dłoń zatkała jej usta, a dwie inne dłonie unieruchomiły rzucające się przez chwilę ciało. Usłyszała tylko głośne wołanie, dobiegające z miejsca, w którym przecież powinna teraz być razem z koleżankami:

- Hanka! Hanka, gdzie jesteś?

Koleżanki nie dostrzegły nawet momentu, w którym Hanka została wciągnięta do środka samochodu, bo jednak wiatr zmuszał je przede wszystkim do zajmowania się sobą.

Wszystko wskazywało na to, że żadna z osób kupujących lub sprzedających towar nie zauważyła, co się stało. Tymczasem Hanka została opuszczona na podłogę między szeroko rozstawionymi fotelami, a potężnie zbudowany mężczyzna, który ją zatrzymał i porwał z uliczki, siedział przy otwartym oknie jakby nic się nie stało. Patrzyła na niego, chciała krzyczeć, ale wciąż nie było to możliwe, bo na ustach tkwiła mocna dłoń.

Nagle zauważyła coś dziwnego. Porywacz zmienił się na twarzy, poczerwieniał jakby zmusił go do tego nagły wysiłek, jego tułów zadygotał w nienaturalny sposób, ramię zostało wyszarpnięte na zewnątrz. Ktoś tam był, tyle że niewidoczny.

- Jedź szybko! – zdołał krzyknąć mężczyzna, a w chwilę później zawył głośno, nadając rysom twarzy jeden bezkształtny grymas bólu.

Hanka poczuła, że wóz ruszył ostro, a jednocześnie mimo przerażenia zdziwiła się, że jej prześladowca odsuwa się z wielkim trudem od okna, ciągnąc za sobą lewą rękę, nienaturalnie wygiętą.

- Co się stało? – wrzasnął ktoś z przodu.

- Moja ręka!... – wystękał obolały mężczyzna. – Jedź! – zawołał, prawie płacząc. – Złamał mi rękę, skurwiel!

- Co ty pieprzysz, człowieku? Przecież tu nikogo nie było! – znowu słychać było ten sam głos. – Może zawadziłeś o coś? Na cholerę było wystawiać łapę za okno? Zasadziłeś się na drugą taką jak ta?

- Złamał mi!... – porywacz nie wytrzymywał bólu, z jego oczu pociekły łzy. – Skurwiel złamał mi rękę!...

Samochód wyjechał już z targowiska na ulicę i teraz pędził tak szybko, że nie mogło być mowy o czyjejkolwiek interwencji z zewnątrz. Hanka czuła się na pół uduszona, z trudem

oddychała, na szczęście prześladowca cofnął dłoń z jej ust, jednak nadal przyciskał ją nogami mocno do podłogi.

- Nie wytrzymam! – jęknął znowu poszkodowany. – Muszę na pogotowie! Zawieźcie mnie tam…

- Teraz? Odbiło ci? Upakujemy dziewczynę i spokojnie wrócimy.

- Nie dam rady! – wrzasnął mężczyzna tak głośno, że aż szyby zadrżały. – Zawróć! Ja wysiądę sam pod szpitalem, a wy jedźcie dalej. Później do was dołączę.… O rany, jak boli!...

- Dasz radę sam? Dojdziesz, gdzie trzeba?

- Przestań pieprzyć, bo już mi prawie całe plecy zdrętwiały, to chyba od tego twojego pieprzenia. Na szczęście nogi są całe. Nawet jak fiknę po drodze, to mnie znajdą i podniosą.

W kilka minut później furgonetka zjechała na dziedziniec rozciągający się pod budynkiem pogotowia ratunkowego. Hanka zauważyła, że ktoś z przodu, chyba kierowca, wyskoczył na zewnątrz, odsunął drzwi, pomógł wyjść płaczącemu z bólu koledze, a w chwilę później znowu zajął miejsce na przednim siedzeniu. Furgonetka ruszyła w dalszą drogę

Rozdział 33.

Podinspektor Rakuć wszedł do sali konferencyjnej, gdzie jego podwładni siedzieli od kilkunastu minut i ziewali.

- Mamy nową robotę! - zawołał już od drzwi. – Zaginięcia. W całym kraju giną młode dziewczyny, a z dotychczasowych ustaleń wynika, że po nafaszerowaniu narkotykami są wywożone do Niemiec i do Holandii…

Przerwał, dostrzegając znudzone spojrzenia komisarzy.

- Hej, obudźcie się! Na szczęście u nas jeszcze żadna panienka nie zaginęła, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem, ale jest sygnał, że tym procederem zajmuje się człowiek z naszego terenu.

- To Grylewicz, inaczej Goryl – podpowiedział komisarz Bijak. – Taką ma ksywę.

- Brawo, komisarzu! Widzę, że pan jest już na tropie.

- Byłem – sprostował Bijak. – Mecenas Cymanek wyjął mi trop z ręki.

- Chodzi o tego Głowińskiego?

- Tak. Jeszcze kilkanaście minut i powiedziałby wszystko. Cymanek zepsuł mi robotę. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nadeszła wiadomość, że to on eksportuje dziewczyny.

Rakuć pokiwał głową ze zgorszeniem.

- Komisarzu, pan chyba ogląda te seriale na tysiąc odcinków, co? Filmowcy wymyślają teraz największe głupstwa, aby tylko przyciągnąć widza.

- Panie inspektorze, ja w ogóle nie oglądam telewizji, bo to mi źle działa na trawienie – pokręcił głową Bijak. – W wolnych chwilach czytam książki.

- A to dopiero informacja! – Rakuć aż klasnął w dłonie. – Szkoda, że pana nie słyszy ten redaktorek z „Od Nowa", który często nawiedza nasze miasto. Nareszcie ktoś by napisał, że w policji pracują intelektualiści!

Roześmiał się zadowolony ze swojego dowcipu, ale zaraz spoważniał.

- Liczę na pańskie poczucie humoru, komisarzu – dorzucił pojednawczo. – A Goryla trzeba odnaleźć.

- Trudność polega na tym – zauważył komisarz Bijak – że nikt nie zgłosił zaginięcia jakichś dziewczyn.

Komisarz Marek Rewicz miał od dłuższego czasu zamknięte oczy. Jego świadomość była utkana aż po brzegi niepokojem o siostrę. Zastanawiał się, czyby nie skorzystać z okazji i nie powiedzieć teraz głośno o tym, co go gryzie. „Porwano moją siostrę, pomóżcie!" Obserwując kolegów, szybko doszedł do wniosku, że raczej nie może liczyć tutaj na nikogo. Temat jest nieznany. Wprawdzie któregoś dnia dotarła do komendy wiadomość o zaginięciu studentki medycyny, ale nikt nie był pewny, czy rzeczywiście doszło do zaginięcia, czy po prostu dziewczyna wyjechała i niebawem powróci cała i zdrowa. Nie pochodzi stąd, mieszka w akademiku, mogło być różnie.

- Myślę, że powinniśmy obstawić agencje towarzyskie – zaproponował. – Nikt nie prowadzi rejestru godzin pracy personelu, a oni najlepiej wiedzą, kto znika i nie powraca.

- W porządku – Rakuć skinął głową z zadowoleniem. – Kto się tym zajmie?

- Mój pomysł, moja działka – odparł Rewicz. – Potraktuję to jako priorytet.

- No to mamy jeden temat zaklepany – podsumował sprawę Rakuć –. A teraz drugi. Czy doszła do was wiadomość o jakimś lokalnym Robin Hoodzie?

- O Robin Hoodzie?... – nie załapał Bijak.

- Nie dosłownie. Niech będzie Batman! – nieco pogardliwie wyjaśnił Rakuć. – Ktoś, kto próbuje wyręczyć nas w konfliktowych sytuacjach. Mówią na niego „Cień". Były pobicia.

Spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

- Ludzie oglądają teraz tyle filmów, że ponosi ich fantazja. Ale spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej – rzekł zrezygnowany Bijak. – Przydałoby się więcej ludzi do pracy.

- Macie to jak w banku. Otrzymałem obietnicę, że niebawem będzie dostawa.

- Dostawa?... – Bijak sprawiał wrażenie jakby nie czuł się najlepiej. – Jaka dostawa?

- Dostawa nowych pracowników, komisarzu Bijak – wyrecytował powoli przełożony. – Będziemy mieć kilku takich prosto po szkole.

Rozdział 34.

Pechowiec z furgonetki nie miał szczęścia tego dnia. Najpierw jakiś niezidentyfikowany sukinsyn wyrwał mu ramię ze stawu, a teraz kazali mu odsiedzieć w poczekalni do momentu, kiedy pojawi się ortopeda. Co z tego, że jakiś weterynarz udający lekarza zrobił mu zastrzyk przeciwbólowy? Zastrzyk przestanie działać i wszystko zacznie się od nowa!

- Psiakrew! – wyraził się dość oględnie, kiedy usłyszał, że trzeba czekać. – Kiedy ten wasz specjalista raczy mnie obejrzeć?

- Jak tylko przyjdzie – usłyszał beznamiętny głos pielęgniarki.

- Ale szpital! – burknął, siadając na krześle pod drzwiami, na których widniał napis „ortopeda". – Człowiek ledwo żyje, a lekarz ma dopiero przyjść! To jest dom pogrzebowy, a nie szpital! – podsumował swoją nieudaną przygodę prosto w ucho kobiety siedzącej obok.

Kobieta odwróciła się ze strachem i przeszła na inne krzesło. Mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem, poczuł nagłą senność, zrozumiał, że tamten magik, który robił mu zastrzyk, dobrze go znieczulił. No to w porządku, gość ma plusa u pana pacjenta, teraz kolej na tego drugiego, podobno specjalistę.

Powiercił się jeszcze przez chwilę na krześle i nawet nie zauważył, kiedy zasnął.

W kilka minut później do poczekalni wszedł podpierając się laską młody mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w biały kitel. Kilku pacjentów krzyknęło głośno „dzień dobry, panie doktorze", mężczyzna pokiwał głową i podniósł rękę w geście powitania.

Z gabinetu zabiegowego wyszła pielęgniarka, dygnęła grzecznie na widok niepełnosprawnego lekarza i wymownym gestem wskazała śpiącego mężczyznę.

- Co to za przypadek, pani Ewo?

- Ktoś mu zrobił kuku. Daliśmy traumel i hydroksyzynę, więc trochę go uspokoiło, ale zaraz się obudzi.

- A co mu jest?

- Coś z ręką. Zwichnięta albo złamana.

- No to weźcie go od razu na rentgen, a potem zobaczymy, co dalej.

W pół godziny później mężczyzna znalazł się w gabinecie ortopedy. Od razu zauważył, że lekarz z trudem wstaje z fotela, podpiera się laską i dopiero wtedy prostuje tułów.

- Marny ten ortopeda – zdążył pomyśleć, zanim lekarz podszedł do kozetki. – Jak on może leczyć kogoś, jeżeli sam jest do niczego?

- Jak pan się nazywa? – usłyszał w chwilę później.

- Bojecki. Krystian Bojecki – odpowiedział, starając się jednak unikać spojrzeń lekarza..

- No to, panie Krystianie, zobaczymy teraz, co panu jest.

Usiadł na stołku przysuniętym do kozetki i dłońmi nakrył mięsień naramienny pacjenta.

- Tutaj boli? – zapytał wpatrując się w twarz leżącego mężczyzny.

- Tutaj… nie bardzo… - Bojecki skrzywił się, ale nie wycofał barku.

Przeniósł dłonie z barku na plecy. Pacjent syknął z bólu.

- No tak – uspokoił go lekarz. – Już chyba wiem, co się stało.

Teraz zaczął przesuwać czubki palców wzdłuż bicepsu na całej długości, ale jednocześnie zatrzymywał przez dłuższą chwilę spojrzenie na twarzy poszkodowanego. Zamknął oczy, przesunął palce z powrotem w górę, następnie zgiął badane ramię i wyprostował je.

- Da pan radę zgiąć rękę w ten sposób?

Pacjent wytężył siły, pot wystąpił mu na czoło.

- Cholera, nie mogę! – powiedział z rezygnacją.

- Nie dziwię się – pokiwał głową lekarz wstając z miejsca i kierując się w stronę biurka. – Panie Krystianie, ma pan zerwane ścięgno długiej głowy mięśnia dwugłowego.

- Nic mi to nie mówi – mruknął badany niechętnie, wciągając głowę w ramiona.

- Zaraz panu wyjaśnię. Bez sprawnego mięśnia dwugłowego nie da się poruszać swobodnie ręką. Niezbędna jest rekonstrukcja chirurgiczna.

- Rany boskie! – pechowiec aż zamknął oczy z wrażenia. – Co ja teraz zrobię?

- Pan nic nie zrobi, od tego jest chirurg. Potrzebna jest tylko pańska zgoda na piśmie. Podpisze pan?

- Ojej! – jęknął znowu. – A jakie mam wyjście?

- Nie ma wyjścia, jest tylko kalectwo – zawyrokował lekarz i przyjrzał się uważnie twarzy swojego pacjenta.

Rozdział 35.

Mecenas Jacek Korycki czuł się doskonale z pistoletem w dłoni, szczególnie w momencie, gdy mógł obejrzeć przez lornetkę efekty oddanej przed chwilą serii strzałów do tarczy. Nadzorujący szkolenie nadkomisarz Rysiak kręcił co chwila głową z podziwem.

- Panie mecenasie, aż nie chce się wierzyć! Przecież pan ćwiczy wcale nie za często, a strzela pan jak zawodowiec.

Korycki położył broń na pulpicie i energicznie rozcierał palce, masując je najpierw po kolei, a następnie zaciskając dłonie w pięści i szybko je prostując.

- Panie nadkomisarzu, ja sam jestem zaskoczony – rzekł, tłumacząc nieśmiało swoje predyspozycje strzeleckie. – Prawie nie patrzę na tarczę, wszystko czuję w palcach.

- Myśli pan, że to coś daje? – sceptycznie wydął usta policjant.

- Myślę, że tak. Powiem panu, że gdybym nie robił masażu dłoni, to chyba nie trafiłbym nawet w tarczę.

Rysiak sprawiał jednak wrażenie nieprzekonanego.

- Panie mecenasie, w każdym podręczniku akcentuje się koncentrację mięśniowo-nerwową. Mózg, panie mecenasie, to jest to, co decyduje o celności strzału!

- Jestem przekonany, że pan ma rację, bo ja też to czytałem – zgodził się Korycki, nie przestając masować dłoni – ale wszystko to sprawdza się dopiero wtedy, gdy dłonie są elastyczne jak dobrze napięta guma. Dzięki temu czuję się jak gdybym strzelał z palców, a nie z broni. Proszę sobie wyobrazić, że robiłem w domu takie śmieszne próby. Mianowicie zamykałem oczy i próbowałem trafić lufą pistoletu prosto w nos…

- Mam nadzieję, że broń nie była naładowana! – roześmiał się nadkomisarz.

To mówiąc, przeszedł jeszcze dalej, bo tego dnia w ćwiczeniach brało udział kilkunastu funkcjonariuszy na zmianę.

Korycki skończył masaż i powtórnie wziął pistolet do ręki.

Czas leciał… Podobno nie miał wyboru.

Kiedy młody mecenas spakował cały sprzęt w torbie sportowej, czuł się jeszcze napełniony energią podobną do tej, jaka towarzyszyła mu w momencie, gdy po załadowaniu broni skupiał całą uwagę na wypatrzeniu centralnego punktu w tarczy. Zmęczenie poczuł dopiero po opuszczeniu strzelnicy. W środku panowało rześkie powietrze za sprawą doskonałej wentylacji, podczas gdy na zewnątrz było dość upalnie, mimo że akurat zbliżała się wieczorowa pora. Na pewno nie znalazłby się ani jeden powód do narzekań, gdyby zechciał powiać wiatr, ale tego popołudnia najwyraźniej miał wolne.

Korycki bez pośpiechu założył torbę na ramię i udał się w stronę domu. Miał kilometr z kawałkiem do przejścia, więc za dwadzieścia minut, może nieco później, powinien już być pod prysznicem. Mieszkał sam w domu mieszczącym się przy bocznej uliczce niedaleko centrum. Kiedy już zbyt mocno odczuwał swoją samotność i brak chęci do śpiewu, wtedy sięgał po słuchawkę telefonu i wykręcał numer do matki mieszkającej trzysta kilometrów stąd. Wielokrotnie namawiał ją, aby zamieszkała razem z nim, ale za każdym razem tłumaczyła jak dziecku, że stare drzewa źle rosną na nowej pożywce. Co można było robić, skoro zawsze słyszało się podobną opowieść o przyrodzie?

Co jeszcze można było zrobić, aby zapewnić sobie trochę komfortu psychicznego, jeżeli nawet nie na każdy dzień, to chociaż na każdą okazję?

Przepadał za wędkowaniem. Jeszcze jako kilkuletni chłopak połknął bakcyla, który w specyficzny sposób zaraża na całe życie. Zapuszczał wędkę wszędzie, gdzie tylko wypatrzył trochę wody, w której pływały lub przynajmniej mogły pływać jakieś ryby. Jak to się stało, że któregoś dnia wypatrzył bratnią duszę w osobie Tomasza Jeżaka?

No cóż? Widocznie tak musiało być, a w ogóle to dobrze jest mieć przyjaciela, szczególnie takiego, który potrafi zapewnić duchowe wsparcie drugiej osobie. Co do tego, Korycki nie miał wątpliwości. Jeżak był typem mocnego człowieka, twardziela sprawiającego wrażenie, jakby w każdych okolicznościach potrafił dyktować światu swoje warunki.

Niestety, jego akurat los nie obdarzył takimi cechami osobowości. Czuł się słaby, zawsze taki był i nigdy nie udawał przed sobą, że tak nie jest. Ale co można było poradzić na pewne niedostatki charakteru, jeżeli człowiek urodził się właśnie takim, a nie innym? A może właśnie dlatego łatwo było zaprzyjaźnić się z Jeżakiem? Po prostu na zasadzie uzupełniających się przeciwieństw.

Skręcił w boczną uliczkę, do domu pozostało już tylko trzysta metrów. Dostrzegł męską sylwetkę w głębi ulicy, tyle że po drugiej stronie. Mężczyzna zbliżał się krokiem spacerowym, może wyszedł na przechadzkę, w każdym razie miał trochę nietypowy sposób chodzenia, miękki, ostrożny, podobny trochę do kociego. Facet był w jego wieku, wprawdzie nie wypadało gapić się na niego, ale jeden rzut oka wystarczył, aby zidentyfikować człowieka. To był na pewno ten mistrz judo, Korycki nie znał go osobiście, ale widział w towarzystwie komisarza Rewicza i jego pięknej siostry. Co za dziewczyna!

Aż uśmiechnął się do wspomnienia. Pomyślał, że taka piękność powinna zostać wystawiona na widok publiczny przynajmniej przez godzinę każdego dnia, aby nasycić sobą łakomych na urodę mężczyzn. Takim pomysłem nie można dzielić się z nikim, bo mieliby człowieka za sadystę, ale wyobraźnia może pozwolić sobie na wiele.

Mistrz judo zniknął za rogiem, Korycki tylko przez chwilę zastanawiał się, czego tamten szuka w jego uliczce, ale w końcu to prywatna sprawa, a jemu pozostaje tylko nadzieja, że widok urodziwej siostry mistrza nie zniknie równie szybko z pamięci.

Rozdział 36.

Radca Tomasz Jeżak czuł się fatalnie tego wieczoru. Nie mógł spokojnie myśleć o nieudanej wyprawie do wioski Podparcice, w której spodziewał się natknąć na jakiś ślad Emilki. A przecież intuicja podpowiadała mu, że właśnie tam znajdzie Wujkowskiego i że Wujkowski opowie mu jak starszemu bratu, co nabroił i jak zamierza się z tego wyplątać.

Pomyślał, że tej nocy znowu będzie miał kłopoty ze snem. Może by tak wybrać się na nocne wędkowanie? O tej porze złowi suma lub węgorza, a wtedy nastrój poprawi się na jakiś czas. Gdyby tak Jacek Korycki miał podobną potrzebę, mogliby wybrać się we dwóch. Ba! Korycki to jeszcze młodzik, a tacy śpią jak niedźwiedzie w zimie. Ale zadzwonić warto, bo w końcu komuś trzeba zwierzyć się z kłopotów, a Korycki, który jest od nich wolny, może znajdzie jakiś pomysł na uzdrowienie samopoczucia.

Wykręcił numer kolegi po fachu. W chwilę później usłyszał znajome „halo”.

- Witaj mecenasie! – zagaił żartobliwie. – Nie wybierasz się przypadkiem na ryby?

- Witam cię serdecznie, Tomku! – zawołał ucieszony Korycki. – Faktycznie, tydzień minął, a moje wędki leżą na słońcu i tracą sprężystość. Z przyjemnością będę ci towarzyszył! Podaj tylko termin.

Jeżak roześmiał się czując, że już jego podły nastrój uległ poprawie pod wpływem pogodnego głosu młodego towarzysza po kiju.

- Jeżeli mam być szczery – zaczął, nie przestając się uśmiechać – to powiem ci, że przynajmniej jeszcze kilka minut temu byłem gotowy gotów rzucić wszystko i powędrować na nocne łowy. Na szczęście czuję, że już mi przechodzi.

- Oho, kłopoty! Dobrze myślę?

- Niestety, dobrze. Myślałem, że uda mi się rozwiązać zagadkę, czułem, że jestem na tropie, a potem okazało się, że nic z tego nie wyszło. Ktoś porwał Emilkę, siostrę Rewiczów.

- Tę piękną dziewczynę z baru „Placek”?

- Tak. Bracia i jej mąż są załamani. Byli gotowi iść na ustępstwa, mimo że nic nie mają poza tym barem, ale bandyci tylko raz się skontaktowali, a potem przestali. Obawiam się, że zrobią jej krzywdę.

Głos Jacka Koryckiego przycichł na dłuższą chwilę. Jeżak odczekał kilkanaście sekund.

- Halo! – zawołał z niepokojem. – Jesteś tam?

- Jestem, jestem – zapewnił spokojnie Korycki. – Właśnie zastanawiam się, co można w tej sprawie zrobić i co ewentualnie ja mógłbym zrobić.

- Daj spokój, Jacek! Powiedziałem ci, bo to mnie męczy, ale w tym wszystkim nie widzę żadnej roli dla ciebie. Muszę rozwiązać to sam.

- Zastanowię się jeszcze i może wpadnę na jakiś pomysł. Na razie muszę przespać się z tym twoim kłopotem, a jutro może coś ci podpowiem.

- Dobrze, Jacku. Śpij spokojnie, być może i mnie coś się przyśni. Cześć!

Położył słuchawkę i skierował wzrok na plik leżących kartek z adresami właścicieli gospodarstw rolnych. Rozłożył je przed sobą i zaczął od początku wczytywać się w nazwiska i nazwy wiosek. A kiedy już doszedł do końca, powrócił do miejsca, w którym był zarejestrowany Wujkowski. Dwa razy Wujkowski! Dlaczego dwa razy?

Nie, to nie mogło być tak, że urzędniczka powtórzyła jego nazwisko przez pomyłkę! Sięgnął do słuchawki telefonu i wykręcił wybrany numer.

Prawie natychmiast odezwał się Marek Rewicz z okrzykiem:

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić! Słuchaj! Odezwała się Emilka! Telefon odebrał Janek i usłyszał od niej, że bandyci domagają się szybkiej zapłaty!

- Dobrze. Przynajmniej wiemy, że jest żywa.

- To jeszcze nie wszystko! Wykrzyknęła dwa wyrazy: „gospodarstwo” i „piwnica”, a potem nagle przerwała, widocznie odebrali jej telefon.

- W porządku. Już chyba wiem, gdzie ją trzymają…

- Wiesz? Jak to „wiesz”?

- Zwyczajnie. Muszę tylko mieć potwierdzenie. Jutro z samego rana zapytaj tę panienkę z urzędu, dlaczego naprawdę wpisała nazwisko Wujkowskiego dwa razy do twojego rejestru.

- A co to ma do rzeczy? – głos Rewicza zabrzmiał wyraźnym zniechęceniem. – Przecież mówiłem ci, że to pomyłka. Nieważna pomyłka. Chodzi o…

- Ta pomyłka jest ważna – skwitował krótko Jeżak. – Zapytaj, a potem zadzwoń. Cześć!

Rozdział 37.

Od wielu godzin nic nie jadła, ale głodu nie czuła. Leżała na wznak, przywiązana do krawędzi łóżka i czekała na cud, który mógłby wyzwolić ją z beznadziejnej sytuacji, w jakiej zresztą znalazła się na skutek własnej lekkomyślności.

Kręciła bezsilnie głową, zła na siebie za to, że w ogóle wpadł jej do głowy pomysł spenetrowania kupy siana przywalonego ciężkimi drzwiami. Zamiast broni, która miałaby posłużyć jej w walce z bandytami odkryła zwłoki kobiece. Gdyby chociaż zakryła je potem szczelnie sianem i gdyby spróbowała naciągnąć z powrotem drzwi! Były trudne do ruszenia, to akurat nie ulega wątpliwości, ale może dałoby się ukształtować siano tak, aby jakoś zamaskować nieudaną penetrację schowka.

Gdyby!

A teraz wszystko przepadło. Przepadła też nadzieja, że uda jej się przeżyć tę makabryczną wpadkę, która zaczęła się od lekkomyślnej chęci pokazania drogi nieznajomym mężczyznom. Z żalem pomyślała, że niedaleko od miejsca, w którym przebywa, świeci słońce, śpiewają ptaki, kwitną drzewa owocowe, ludzie spacerują po ulicach, a nikt nie wie, co się z nią dzieje.

Czy naprawdę nikt? Podczas rozmowy telefonicznej zdążyła wykrzyczeć dwa słowa, które mówiły wiele i nic. Gospodarstwo i piwnica! Janek musiał to usłyszeć! Ale czy trafi tutaj? Dookoła miasta pełno jest gospodarstw. Jak szybko można je przeszukać? A może już tu byli, niczego nie zauważyli i poszli dalej?

Do diabła! Nawet nie można obrócić się na bok. Została przywiązana tak mocno, że ledwo czuje nadgarstki. Spróbowała poruszyć palcami, najpierw lewej, potem prawej ręki. Udało się, a prawe wiązanie odczuła jako dość miękkie. W ciemności nie mogła wypatrzeć, czym ją przywiązali, ale gdy skoncentrowała się na reakcji skóry podczas próby obracania dłonią, nabrała przekonania, że jest to coś w rodzaju bandaża elastycznego. Było rozciągliwe, tyle że bandyta również musiał zdawać sobie sprawę z takiej właściwości więzów i mocno je naciągnął. Mimo wszystko Emilka czuła, że węzeł wokół prawego nadgarstka da się obluźnić. Wymaga to trochę czasu, ale da się.

W takiej chwili nie myślała o tym, co zrobi, jeżeli uda jej się wyswobodzić z więzów. Już wcześniej postanowiła, że wytęży wszystkie siły, aby zmusić mięśnie do walki. Niech ją w końcu zabiją, ale ona z pewnością nie ułatwi im zabijania!

Rozpoczęła kręcenie prawym nadgarstkiem tak, aby rozciągnąć bandaż.

- To się musi udać! – szepnęła w pewnym momencie czując, że krew napłynęła do przedramienia, a uchwyt stał się prawie luźny. Nie był to jeszcze taki luz, dzięki któremu dałoby się wysunąć dłoń z pętli, ale niebawem powinno być dobrze.

Nagle zamarła. Usłyszała trzask otwieranej klapy, dostrzegła promień światła latarki, a następnie do jej uszu doszedł odgłos stawianych powoli kroków.

Ten ktoś zbliżył się, podniósł latarkę do góry, poświecił Emilce w oczy i powiedział nieprzyjemnym głosem:

- Jak się czujesz, mała? Nie zimno ci?

Rozpoznała głos Pikola, a w chwilę później rozpoznała też jego twarz. Odebrała to jak wyrok śmierci. Pikolo nie nosił już maski na twarzy. Zrozumiała, że jako świadek makabrycznego odkrycia pod sianem, nie będzie wypuszczona między ludzi, którym mogłaby przekazać taką informację. Krótko mówiąc, nie ma już mowy o tym, aby wyszła stąd żywa. Okup przestał być ceną za jej życie, teraz liczy się tylko milczenie. Jej milczenie.

- Nic nie mówisz? – odezwał się znowu Pikolo. – Niedobrze. Pamiętam, że wtedy, w barze, miałaś dużo do powiedzenia, prawda?

Znowu podniósł latarkę w górę. Zauważyła, że w drugiej ręce trzymał duże nożyce albo sekator ogrodniczy. Co za drań! Zamorduje ją od razu czy jeszcze coś powie, żeby odegrać się za tamto upokarzające spotkanie?

- Jesteś całkiem apetyczna! – zachwycił się nagle, przesuwając latarkę po całej postaci dziewczyny, wpatrując się w nagie ciało, wyłaniające się spod cienkiej sukienki. – A ja jestem głodny. Co ty na to? Będziesz wierzgać? Nie radzę, mam tu coś na ciebie, gdybyś tylko spróbowała wierzgać! Poucinam paluszki, zapakuję w paczuszkę i wyślę Rewiczom jako relikwie. He, he, he!

Pomachał jej sekatorem nad głową.

- Moja rodzina nie zapłaci wam ani grosza! – spróbowała jeszcze przekonać go konkretnym argumentem.

- Tak? A skąd wiesz, czy my jeszcze czekamy na waszą kasę? A może wygraliśmy w toto-lotka?

Ta jedna wypowiedź wystarczyła, by Emilka straciła wszelkie wątpliwości. Jest spalona. Po odkryciu tamtych zwłok bandyci nie zaryzykują odstawienia jej do miejsca, z którego tak łatwo dała się uprowadzić.

A Pikolo przyczaił się właśnie na wprost jej nóg. W ciemnościach nie widziała jego twarzy, ale domyślała się, jak może wyglądać gwałciciel złakniony ciała ofiary. Mimo wszystko nie da się! Będzie walczyła samymi nogami, skoro ręce ma unieruchomione.

Raczej wyczuła niż dostrzegła agresywny ruch Pikola i zastosowała ten sam manewr, jakiego doznał przedtem sam szef bandy. Kiedy tylko Pikolo pochylił się nad nią, otrzymał potężny cios w lewą skroń. Upadł na podłogę i co najmniej przez pół minuty nie dawał znaku życia, podczas gdy Emilka gorączkowo starała się wyplątać prawą dłoń z pętli. Boże, gdyby dał jej choć trzy minuty czasu!...

Nie dał aż tyle. Obszedł łóżko dookoła, stanął przy jej głowie i syknął:

- Sama tego chciałaś! Masz!

Chwycił za lewą dłoń, ścisnął najmniejszy palec sekatorem i nacisnął z całych sił. Rozległ się dźwięk zdradzający uderzenie ostrza o ostrze.

Poczuła potworny ból. Jednocześnie do jej świadomości przedarła się myśl, że bandyta obrzydliwie ją oszpecił. Zacisnęła zęby i oczy, aby powstrzymać krzyk.

- No i co? – tryumfujący głos Pikola zabrzmiał jak uderzenie młota o kowadło. – Poczułaś na własnej skórze, co to znaczy nie docenić pana Pikolińskiego. A to tylko początek. Na razie przyciąłem palec za paznokciem. Niewielka strata. Następnym razem skasuję cały palec, a potem wszystkie po kolei. No? Będzie spokój?

Nie odpowiedziała. Przez chwilę złapała się na tym, że zaczyna jej być wszystko jedno, bo chyba już nie sprosta psychicznie sytuacji, w jakiej ją los ustawił. Tylko instynkt podpowiadał jej konieczność walki o wszystko, co można tu jeszcze osiągnąć.

Już nie reagowała, gdy Pikolo wdarł się w nią jak dziki kot w siatkę z rybami. Starała się tylko kontrolować jego poczynania i zauważyła, że leżąc na niej trzymał w prawej dłoni sekator. To narzędzie stało się teraz obiektem największego pożądania ze strony Emilki. Ale jak się do niego dobrać? Znowu wprawiła w ruch nadgarstek. Szybciej! Szybciej uwolnij się! Póki jeszcze bandyta nie zdążył dojść do szczytu w swojej chuci.

Palce Emilki kręciły się w obłąkańczym kołowrotku, nasada kciuka prawie dotknęła nasady małego palca i wtedy… Dłoń wyślizgnęła się z pętli!

W tym samym momencie bandyta wydał okrzyk rozkoszy, wsparł tułów wysoko na rękach, wygiął grzbiet i to była ta jedyna sekunda, może dwie, kiedy można było coś zrobić.

Nie zbagatelizowała szansy. Obracając się na ile tylko mogła w lewo, sięgnęła ramieniem pod ciałem upojonego gwałtem bandyty. Szczęście jej sprzyjało. Od razu trafiła na sekator. W ferworze gwałtownych przeżyć bandyta rozcapierzył dłoń tak, że tylko nakrywał palcami narzędzie, ale nie trzymał go. Szarpnęła błyskawicznie i równie szybko zorientowała się, że Pikolo nie stawia żadnego oporu.

Zanim rozanielony mężczyzna zdołał zareagować, otrzymał pierwszy cios w głowę. Potem drugi, trzeci i czwarty. Dopiero wtedy zwaliła z siebie nieruchome ciało.

Przecięcie pętli u lewej dłoni nie sprawiło już trudności. W gorączkowym zamieszaniu przestała odczuwać ból po utracie kawałka palca. Teraz myślała tylko o wzięciu odwetu.

Stanęła nad nieruchomym ciałem i powiedziała cedząc nienawistnie każde słowo:

- No, panie Pikoliński, teraz moja kolej, ale ja pana nie zgwałcę. Zrobię tylko tak, aby pan już nigdy nikogo nie zgwałcił. Należy mi się to, prawda?

Z obrzydzeniem przytrzymała koniec członka czubkami palców. A potem kłapnęła sekatorem jak niepotrzebną gałązkę na drzewie.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, panie Pikoliński – wyrzekła z satysfakcją. – Zna pan to porzekadło? Raczej nie, bo za krótko chodził pan do szkoły.

Szarpiąc mocno rękami naciągnęła spodnie na krwawiące podbrzusze bandyty, wytarła rękę o wymięty koc. Wodząc zdrową ręką po podłodze wokół wyrka trafiła na swoje majtki. Stwierdziła, że to jedyna część odzieży, której nie zdążyli na niej poszarpać. Dopiero wtedy emocje zaczęły z niej opadać. Pomyślała, że najwyższy czas zaplanować strategię działania na trochę później. Będzie ciężko ale przynajmniej nie będzie czuła żalu do siebie, że nie zrobiła czegoś, co zrobić należało. A swoją drogą, ciekawe, jak będzie się uśmiechał Pikolo, gdy obudzi się z tej uderzeniowej narkozy.

Rozdział 38.

Trzej bandyci siedzieli przy stole i bez pośpiechu sączyli piwo, podczas gdy czwarty akurat smażył jajecznicę na dużej patelni. Rozmawiali o rzeczach ważnych, bez podnoszenia głosu i bez uśmiechów, bo to byli bandyci rasowi, dobrze zaprogramowani, a nie dzielnicowe obszczymurki polujące na uczniów z podstawówki. Gdy jajecznica zaczęła apetycznie pachnieć, przerwali rozmowę.

- Wujek, co się dzieje? – zapytał szef bandy, aczkolwiek bez naciskania na pośpiech. Ostatecznie, kiedy jest się szefem, to się wie, że jajecznica ma swój czas dojrzewania.

- Już jest dobrze, a za chwilę będzie bardzo dobrze – odpowiedział spokojnie Wujek.

Posiedzieli dwie minuty w milczeniu.

- No i mamy problem – odezwał się bandyta noszący długie włosy niczym giermek z przedwojennego filmu. – Ja w każdym razie nie wiem, co robić.

- Jeżeli czegoś nie wiesz, Szaman – odezwał się bez emocji Wujek mieszający jajecznicę – zapytaj szefa. Szef wie wszystko.

- Tym razem trafiłeś kulą w płot, Wujek – oświadczył wywołany. – Ta głupia dziwka sama narobiła sobie kłopotu, a teraz my musimy to jakoś zakończyć.

- Chcesz ją wypuścić? – zdziwił się raz jeszcze kucharz. – To byłby koniec z nami.

- Wujek, wyluzuj. Najpierw zjemy to, co tam przypalasz, a potem podejmiemy decyzję, bez pośpiechu. No! A teraz dawaj na stół co trzeba!

Wujek wydobył talerze z kredensu, szybko podzielił zawartość patelni na porcje i ustawił wszystko na stole.

- Widzicie, jaki ze mnie gospodarz? – zaśmiał się krótko. – Kur nie hoduję, a jajecznica jest. Chlebek podać?

- Dawaj wszystko co masz – rzekł Szaman, obwąchując łakomie swój przydział.

Wujek pokroił chleb i usiadł do stołu.

- No więc tak – zaczął szef po kilku kęsach przełkniętych z niepohamowanym apetytem. – Ktoś tu czegoś nie dopilnował. Tamte zwłoki miały już dawno leżeć głęboko w glebie.

- Wybacz szefie – pochylił głowę brunet, który dotychczas się nie odzywał, zapewne myślał tylko o jajecznicy, która miała uruchomić jego rozum. – Trzeba było najpierw zrobić porządek z tamtą dziewczyną z bazaru.

Podniósł głowę Szaman.

- Przykryliśmy siano drzwiczkami tak ciężkimi, że ledwo daliśmy radę we dwóch. Kto mógł wiedzieć, że ta dziwka je zwali? – powiedział, dając do zrozumienia, że jest zdziwiony.

- Ale zwaliła – podsumował szef. – A teraz my mamy kłopot i ona ma kłopot.

- Znaczy, że z tej planowanej kasy nic już nie będzie? – próbował upewnić się brunet.

- Bączek, ogarnij się! Tysiąc glin zaczęłoby przeszukiwać wioski dookoła miasta, gdyby ona opowiedziała, co zobaczyła.

Brunet zwany Bączkiem pochylił się nad talerzem bez słowa. Szef to jest szef i koniec.

- Jest jeszcze jeden kłopot – podpowiedział Wujek. – Kwadrat. On przecież rozmawiał z Rewiczem o naszej kasie.

- Wtedy nic nie zapowiadało, że sprawy potoczą się inaczej, teraz znowu jest inaczej. Kwadrat powie wszystko, jak go przyduszą.

- Czyli… do kasacji?

- Widzisz jakieś inne wyjście?

- Nie ma innego wyjścia – wzruszył ramionami Wujek. – Tak mi się wydaje.

- Trzeba się pospieszyć – spokojnym głosem poinformował szef. – Przywieź go tutaj jutro, powiedz, że kasa w drodze.

- Facet jest cholernie silny! – przypomniał sobie Bączek.

Szef wyciągnął pistolet z kieszeni i położył go na stole.

- Kwadrata nie udusimy, bo się nie da, ale wystarczy jedno puknięcie i gleba.

- No to mamy plan na jutro – podsumował Wujek. – Słuchajcie! – zawołał nagle, wyglądając przez okno. – Co z Pikolem? Dorwał się do tej dziewczyny jak głupi do sera, nawet o jajecznicy zapomniał! – odsunął pusty talerz na środek stołu. – To co, panowie? Zobaczymy, czy Pikolo zasłużył na oklaski?

- Zawsze mówił, że odegra się za kopniaka – odezwał się ten, który dotychczas milczał.

- Za jakiego kopniaka? – zmarszczył brwi szef.

- Byliśmy raz z Kwadratem w jej barze. Pikolo podskoczył do niej, a ona jak mu przywaliła, to Pikolo od razu zaparkował dołem!

- Ciekawe – pokiwał głową szef. – Nie słyszałem o tym dotychczas.

Wyszedł z domu pierwszy, za nim podreptała reszta. Nie spieszyli się. Od domu do stodoły było kawałek drogi, żadne obowiązki nie goniły, bandyci leniwie stawiali kroki. Zjedzona jajecznica pozwalała odczuwać spokój i gromadne poczucie pewności siebie.

Przystanęli na chwilę przy studni. Szef rozsunął drzwiczki ochronne, pochylił głowę i zajrzał do środka.

- Głęboko tu?

- Nie bardzo – odpowiedział Wujek. – Najwyżej trzy metry wody.

- No tak. Za to z góry do powierzchni będzie cztery albo pięć. Dobra chociaż ta woda?

- Nie mam pojęcia. I tak przywożę sobie wodę w baniakach.

- No właśnie. Można było wcześniej wrzucić tamte zwłoki.

Otworzyli drzwi stodoły i zbliżyli się do miejsca, z którego wystawała ciężka klapa. Wujek podniósł ją z wyraźnym wysiłkiem, opuścił na zawiasy po drugiej stronie, sięgnął po latarkę stojącą nieco dalej, podkręcił knot i podpalił.

Zatrzymali się, kiedy z wnętrza dał się słyszeć dziwny hałas przypominający wycie, tyle że jakoś dziwnie przytłumione.

- Co za czort z tego Pikola – mruknął z uznaniem ten, który dotąd najmniej mówił. – Aż tak bardzo jej dogodził?

Wujek uśmiechnął się i trzymając latarkę, zrobił krok w dół jako pierwszy. Zaraz jednak odwrócił się do tego niezbyt wygadanego, mrugnął i powiedział:

- Spokojnie, Stefanek! Idziesz za mną. Może jeszcze na coś się załapiesz!

Po kolei schodzili ze schodków, a kiedy już zeszli, gromadnie skierowali się za załamanie ściany, prowadzeni odgłosem tłumionego wycia jak po sznurku.

To, co się nagle stało, było nie do przewidzenia. Najpierw błysnął metal nad głową zaciekawionego Stefanka, następnie dało się słyszeć mocne uderzenie i Stefanek runął na

ziemię bez jęku. W chwilę później wypadła z ciemności Emilka machając sekatorem na lewo i prawo. Omijając zaskoczonych mężczyzn pomknęła w kierunku schodów.

- Trzymajcie ją! – wrzasnął szef otrząsając się z pierwszego wrażenia.

Pierwszy rzucił się Bączek. Wujek postawił najpierw latarkę na ziemi, żeby mieć swobodę ruchów. Tymczasem Emilka już dotarła do szczytu i wyskoczyła na górę. Miała szanse biec dalej, a może nawet uciec, gdyby nie światło dnia. Poraziło ją tak, że musiała zasłonić oczy. Biegła w kierunku wyjścia ze stodoły, trafiła między otwarte wrota, zrobiła jeszcze kilka niepewnych kroków i wręcz odbiła się od studni wypuszczając z ręki sekator.

Tam ją dopadli. Bączek trzymał z jednej strony, Wujek z drugiej. Cała trójka dyszała rytmicznie, czekając na szefa.

Pojawił się dopiero po kilku minutach.

- Wiecie, co ona zrobiła Pikolowi? – zapytał patrząc dziewczynie prosto w oczy. – Nie wiecie. Obcięła mu fiuta!

Wujek i Bączek popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Obcięła fiuta? – prawie zapiał Bączek. – Pikolowi? Całego fiuta?

- Całego. Fiut leży koło Pikola.

- Szefie, szkoda, że nie przyniosłeś! Wsadzilibyśmy jej w zęby!

- Ja nie mogę! – zawołał Wujek. – Obcięła Pikolowi fiuta? To barbarzyństwo! Jak można uciąć facetowi fiuta? To jest najgorsze, co mogło się wydarzyć!

- Nie – spokojnie oznajmił szef. – Najgorsze dopiero się wydarzy.

Przestał patrzeć na Emilkę, zbliżył się do studni, otworzył szeroko obie połówki zadaszenia i wskazując palcem dziewczynę powiedział krótko:

- No!

Wujek i Bączek popatrzyli niezdecydowanie najpierw na szefa, potem na ofiarę. Emilka była spokojna, uśmiechała się nawet do swoich myśli, sprawiała wrażenie osoby obojętnej, gotowej na śmierć.

- A co ze Stefankiem? – zapytał jeszcze Wujek zmieniając na chwilę temat.

- Stefankowi załadowałem dwa kopniaki, od razu się obudził. Jak dojdzie do siebie, to przyjdzie do nas.

- No tak… - z wahaniem mruknął Wujek. – To jak będzie z nią?

- Wujek, mnie jeszcze nikt nie zrobił w jajo i nie zrobi. A jej prawie się udało. Niech to będzie pierwszy i ostatni raz. Wujek, rób co masz robić! Bączek, pomóż mu.

Bandyci ujęli dziewczynę za ramiona i pod kolana. Tym razem nie broniła się. Była zupełnie wyczerpana psychicznie, spocona, słaba, pozbawiona wiary w cokolwiek, co mogłoby przywrócić jej spokój życia. Nadal nie przestawała się uśmiechać.

Przytrzymali ją w górze na krótki czas, posadzili na cementowej krawędzi i nacisnęli mocno plecy. Poleciała nogami w dół. Do uszu bandytów dobiegł głośny plusk.

- No – skwitował wydarzenie szef, chwycił za skrzydła daszku i zamknął je szczelnie jakby z obawy, że ofiara zaraz wyfrunie i utopi swoich katów.

Rozdział 39.

Głowa nudził się tego przedpołudnia przeokropnie. Dzień wcześniej zepsuł mu się telewizor, a w rezultacie nie miał gdzie obejrzeć swojej ulubionej telenoweli „Kwiat miłości" produkcji kolumbijskiej. Co by się nie rzekło złego lub dobrego o Głowie, nie dało się ukryć, że z biegiem lat stał się sentymentalny, zamierzał nawet poszukać dla siebie stałej posady, uprawiać kwiatki w doniczkach, robić dobre uczynki, przeprowadzać staruszki przez ulice, odrabiać prace domowe z matematyki za małolatów, ale… jeszcze nie teraz.

Teraz potrzebował pieniędzy na naprawę telewizora, a przecież nie miał akurat ani grosza, nie miał też pomysłu na zorganizowanie sobie jakiejś kasy w najbliższej przyszłości. W takiej sytuacji Głowa już dawno nie był, zanosiło się na to, że wpadnie w depresję, a przecież nie było pewności, czy kiedykolwiek podniesie się z takiego upadku.

Kiedyś to co innego! Kiedyś potrafił przewidzieć, co się stanie, jeżeli poprosi nieznajomego o pożyczkę, najchętniej długoterminową bez gwarancji co do zwrotu. Ludzie nie byli drobiazgowi, mieli sumienie, dzielili się z bliźnim, czym tylko mogli. Ale wtedy działali zespołowo razem z Bojcem i Kwadratem, a nawet z Gorylem, który, gdy się uśmiechał, potrafił nadać swojej twarzy wygląd księdza chodzącego po kolędzie, mimo że duszę miał oprycha. Taki kwartet był niezwykle wydajny szczególnie wtedy, gdy happeningi organizowało się już po zmroku. Klienci sami wyciągali forsę z kieszeni, byleby tylko nie podupaść na zdrowiu, tym bardziej że kolejki do lekarzy specjalistów wydłużały się z roku na rok, a na wizytę prywatną stać nie każdego.

A teraz co?

Kwadrat zupełnie wypadł z biznesu, a nawet stracił twarz, bo ktoś widział go w knajpie z psem, podobno szuka nawet pracy w jakiejś szkole, chyba jako wykidajło, no bo co innego mógłby w tej szkole robić! Ludzie mówią też, że zaczął chodzić do kościoła, co by

świadczyło o tym, że umarł dla świata. Goryl zapadł się pod ziemię i nikt nie wie, gdzie koczuje. Bojec… nno… Bojec ma na razie wakacje, bo wsadzili mu łapę w gips, musi to jakoś przeżyć, ale o tej porze śpi i nie ma takiej siły, która by go wyrwała z pościeli. Tak naprawdę to z Bojcem, z innymi też, można spotkać się nie wcześniej niż po siedemnastej. Ludzie z branży nie lubią pokazywać się w pełnym słońcu, Głowa o tym wie i dlatego sam siedzi przed telewizorem, kiedy świeci słońce. Poza tym w dzień chodzi za nim jakiś. Głowa nie jest głupi, wie, że Zawieja ma na niego oko i każe go pilnować. Kit mu w ucho!

Jak się to wszystko podsumuje, wyraźnie widać, że nie jest dobrze, a przynajmniej Głowa nie widzi dla siebie jasnych widoków na przyszłość. A tymczasem, jak na złość, gdy tylko spojrzy w okno, dostrzega kantor stojący po drugiej stronie ulicy. Kantor jest w porządku, ale to nie jest kantor Głowy, tylko jednego cwaniaka, co to kiedyś zajmował się cinkciarstwem, a teraz robi za biznesmena. Kiedy Głowa tamtędy przechodzi, cinkciarz mówi mu „cześć”, ale pieniędzy nie rozdaje i nie pożycza. I dlatego ten widok działa na Głowę jak przysłowiowa płachta na byka, a już na pewno nie dodaje mu skrzydeł w życiu doczesnym.

Wyjrzał przez okno, żeby choć na chwilę nabrać jeszcze większej ochoty do wybrzydzania na niedostępny kantor. Popatrzył, nakręcił emocje i już miał cofnąć się w róg pokoju, gdzie siedział i wybrzydzał, kiedy niespodziewanie zobaczył trzech chłopaków w ciemnych okularach stojących pod jedną ze ścian kantoru. Chłopaki zachowywali się dziwnie. Jeden z nich dawał jakieś znaki dłonią dwóm pozostałym, wyglądało na to, że nie tylko Głowie brakowało pieniędzy, ale im również, a może nawet przede wszystkim i właśnie szykują się do uzupełnienia niedoborów. Takiego podejrzenia nabrał Głowa, gdy zobaczył, że chłopak, który ruchami ręki wydawał polecenia, wydobył z kieszeni coś, co przypominało pistolet i zdecydowanie kierował się do wejścia z jednej strony, a dwaj kolesie z drugiej.

Głowa nie mógł widzieć, co działo się dalej, bo chłopcy weszli do środka i wcale stamtąd nie wychodzili. A to dopiero heca! Głowa czuł, jak dreszcz emocji ogarnia całe jego ciało. Będzie kasa czy kasy nie będzie?

Już są! Wybiegli i od razu ruszyli szybkim krokiem wzdłuż ulicy. Ten, który przedtem wydawał polecenia, trzymał w ręku torebkę plastikową, a Głowa ani przez chwilę nie wątpił, że koleś dźwiga kasę. No, no, no! Napad w biały dzień? Może to i dobrze, bo o tej porze nikt nie spodziewa się napadu. Głowa na przykład nigdy by się na to nie zdobył. Zgodnie z tradycją, krojenie robi się w godzinach, kiedy ludzie wracają z pracy, najczęściej w tłoku, w którym nietrudno się schować. A to cwaniaki!

Wypatrzył, dokąd cwaniaki zmierzają i w jednej chwili powziął decyzję. Muszą podzielić się z nim! Cwaniaki jeszcze nie wiedzą, że będą musieli podzielić się łupem, ale Głowa już to wie.

Wyszedłszy z budynku, od razu wziął azymut na kierunek, jaki wypatrzył z okna. Chłopaków zauważył już w dwie minuty później. Przyhamował, żeby ich nie spłoszyć. Zauważył, że zwolnili tempo marszu, widocznie byli bardzo pewni siebie. Kierowali się w stronę parku, a Głowa akurat tam zamierzał dać się poznać jako udziałowiec.

Usiedli na ławce przy stawie. Byli tak zajęci sobą, że nawet nie zauważyli, gdy wyszedł zza gęstego świerka, powiedział „cześć chłopaki", przycupnął na skraju ławki i zapytał:

- A co z tamtym? Skasowany czy jeszcze dycha?

Byli przerażeni. W pierwszej chwili nikt z nich nie potrafił wydukać nawet słowa, a ponieważ wcześniej zdjęli ciemne okulary, więc teraz widać było dokładnie rozmiar strachu w ich oczach.

- To jak jest z nim? – zapytał ponownie.

- Nic mu nie jest… - wykrztusił wreszcie najstarszy. – Pistolet gazowy i to wszystko!...

Głowa od razu go rozpoznał.

- Marnie wyglądasz – powiedział. – Ten siniak pod brodą nieprędko zejdzie, a ten drugi na czole wygląda jak z horroru. Ja ciebie znam. Ty jesteś Bolo Wroniec, no nie?

- No, jestem… - Bolo stopniowo dochodził do równowagi duchowej.

- Mów, co zrobiliście właścicielowi.

- Oj, nic! Dostał tylko dwa strzały z gazu, ale na pewno już jest w porządku. A bo co?

- Bo ktoś może się dowiedzieć…

- Ile chcesz? – zapytał rzeczowo Bolo.

- Połowę –Głowa uśmiechnął się serdecznie, co jednak wyszło nie najlepiej, bo jeden kącik ust uśmiechał się niżej niż drugi, Głowa raczej nie powinien się uśmiechać.

- A jak nie, to co? – nasrożył się Bolo.

- Zrobi się głośno – rozłożył ręce Głowa. – Ja tu mieszkam i dużo wiem – dodał jeszcze.

Bolo schował głowę w ramiona.

- Co masz na myśli?

- Wszystko. Ja tu mieszkam po to, aby wszystko wiedzieć.

- My też chodzimy po mieście i dużo widzimy – odezwał się ironicznie Juras. – Widzieliśmy pana z taką jedną dziewczyną, podobno była studentką medycyny, ale od tamtej pory nikt jej nie widział, a policja ciągle szuka.

Głowa poczuł, jak krew go zalewa, ale przecież nie mógł dać poznać tego po sobie.

A Bolo powiedział tak:

- Sam widzisz, jak jest. My dużo wiemy, bo my jesteśmy wszędzie. Odpalimy ci dziesięć procent znaleźnego i będzie po sprawie – stwierdził stanowczo.

- Dziesięć procent? Kozak z ciebie! – z udanym podziwem cmoknął Głowa.

- Tego nie powiedziałem. Przyszedłeś na gotowe, a chcesz capnąć połówkę? Ten numer nie przejdzie. Jak się nie zgodzisz, nie dostaniesz nic.

Głowa z trudem opanował emocje, ale czuł, że za chwilę wybuchnie, jeżeli szczawik jeszcze raz wypomni mu tamtą dziewczynę. Tego jeszcze by brakowało, żeby taki gnojek narzucał mu swoją wolę. Już ja cię załatwię, szczawiu, nawet nie wiesz, z której strony!

- W porządku – oznajmił z udawaną rezygnacją. – Niech będzie znaleźne.

Rozstali się bez żalu, zarówno z jednej jak i drugiej strony, ale Głowa zrozumiał, że jest w pułapce, bo gdy szczawiom coś odbije, naopowiadają o nim gdzie trzeba takich rzeczy, od których policja robi się nerwowa. Postanowił trochę odczekać i wyprzedzić fakty.

Dochodziła czternasta, gdy wydobył z kieszeni telefon, wystukał numer i przyłożył aparat do ucha. Słońce grzało, wiał lekki wiatr, naprzeciwko leciała woda z fontanny, a sam Głowa siedział samotnie na ławce, trzymał jedną nogę wysoko na kolanie drugiej, czuł się wyśmienicie i czekał na czyjeś „halo”.

- Pani połączy z prokuratorem Zawieją! – zagaił wreszcie tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Głowiński się nazywam i jestem umówiony.

W kilkanaście sekund później Głowa usłyszał chrząknięcie, potem jeszcze jedno i wreszcie męski głos:

- Śmiało, panie Głowiński! Bylebym nie żałował, że podniosłem słuchawkę.

Głowa zdjął nogę z nogi, poruszył barkami w lewo i prawo, co zapewniło mu bardziej stabilną pozycję i rzekł:

- Dzień dobry, panie prokuratorze! Panie prokuratorze, czytałem w „Od Nowa”, że policja nie ma namiaru na tych, co zabili chłopaka z autobusu przy linii „piętnastki”.

- Na razie nie ma, ale to tylko kwestia czasu. A o co chodzi?

- O to, że ja mógłbym coś powiedzieć na ten temat, bo ja wiem o wszystkim, co dzieje się w tym mieście.

- No to słucham, panie Głowiński, słucham!

Głowa odczekał chwilę, teraz on sam czuł się jak prokurator, przynajmniej na krótko.

- Ale pan odwoła tego gościa, który chodzi za mną? – mruknął pojednawczo. – No wie pan… Ja jestem w porządku wobec pana prokuratora, więc… jakby to powiedzieć…

- A to dobre! – zdziwił się Zawieja. – Naprawdę ktoś za panem chodzi? No, no! Skoro tak pan uważa… - prokurator chrząknął wymownie. - Załatwione, w czym rzecz?

- Tego chłopaka skasował niejaki Bolo Wroniec z dwoma kumplami.

- Bolo Wroniec? – Zawieja gwałtownie wyciągał nazwisko z zakamarków pamięci. – Ten spokojny młody człowiek? Przecież to nie jest jakiś tam kryminalista.

- Nie jest, bo jeszcze nie był w kryminale. Najwyższy czas, żeby posiedział i to długo. Ludzie mówią, że to zwykły obszczymurek szukający przygód, a kumple tacy sami, ale wszyscy trzej mają zadatki na kryminalistów. Właśnie obrobili kantor na mojej ulicy.

- Gratuluję, panie Głowiński! Z pana byłby znakomity wywiadowca. Nigdy nie myślał pan o pracy w policji?

- Co to, to nie! – Głowa aż podniósł się z miejsca na dźwięk słowa „policja”. – A w życiu! Jakoś na siebie zarobię, niech tylko nikt nie wchodzi mi w drogę.

- Bardzo pobożne życzenie – zgodził się prokurator. – Spotkał pan gdzieś Grylewicza?

- Kogo? – głos bandyty sprawiał wrażenie, że człowiek jest niezorientowany, przynajmniej nie dzisiaj i nie o tej porze.

- Zenona Grylewicza, czyli Goryla.

- O, tego człowieka dawno już nie widziałem!

- Gdyby jednak pan go zobaczył…

- Rozumiem, panie prokuratorze. Trzymam rękę na pulsie.

- W takim razie życzę powodzenia!

Głowa schował telefon do kieszeni i odetchnął głęboko.

- No, szczawie! – wymamrotał zadowolony z siebie. – Do zobaczenia za dwadzieścia lat! A za kratkami zrozumiecie, czym skutkuje brak szacunku dla pana Głowińskiego.

Rozdział 40.

Wrażenie było niesamowite. W pierwszej chwili Emilka odruchowo wstrzymała oddech, kiedy całe jej ciało znalazło się pod wodą. Nie czuła bólu, czuła okropne zimno. Kilka sekund upłynęło zanim jej głowa automatycznie wychyliła się ponad powierzchnię, a ręce dotknęły betonowego kręgu.

Jak przez mgłę przypomniała sobie zabawę z sali ćwiczeń, kiedy to zapierając się plecami o skrzynię ustawioną w poprzek i trzymaną przez dwóch kolegów, żeby nie doszło do poślizgu, odpychała się nogami od drabinek bez pomocy rąk usiłując dojść w ten sposób do

samego wierzchu. Skrzynia była śliska, więc zachodziła konieczność mocnego napierania plecami na nią, żeby nie spaść z hukiem na podłogę. Kiedy tylko poczuła się pewniej, wykonała to ćwiczenie kilka razy. Wtedy asekurował ją brat, Janek, tutaj…

Poczuła nawrót energii, gdy dotykiem wyczuła, że cembrowina ponad lustrem wody jest zupełnie sucha, a do tego chropowata, co wróżyło dobrze, bo gdyby było ślisko…

Zaparła się z dwóch stron, układając ramiona tak, aby jeszcze bardziej wzmocnić nacisk na ściany cembrowiny, aczkolwiek największe znaczenie miało w tej sytuacji jednoczesne napieranie grzbietem z jednej strony i stopami z drugiej.

Nabrała powietrza w płuca i uniosła ciało ponad powierzchnię wody. Z satysfakcją stwierdziła, że kręgi były dość wąskie. Pozwoliło to jej utrzymywać ugięte nogi nawet w pozycji wspinania się po centymetrze w górę. Mało tego! Gdy zmieniała położenie dłoni, wsuwając je pod biodra, natychmiast poczuła, że ma szanse. Byleby tylko sił nie zabrakło przed czasem!

Obawiała się spojrzeć w górę, aby odległość nie zadziałała na nią deprymująco. Stopniowo oddalała się od miejsca upadku. Po pokonaniu jednego kręgu pomyślała nawet, jak dobrze się stało, że dziwnym trafem nie uderzyła się o beton w trakcie spadania. Być może uratowała ją własna bierność.

Koniec z nicnierobieniem! Ocierała się plecami aż do bólu, pilnując jednocześnie, aby w żadnym wypadku nie rozluźniać mięśni nóg, bo to byłby koniec. Wszystkie mięśnie muszą być napięte bez przerwy do granic możliwości!

Wspinaczka szła coraz lepiej. Plecy wyginały się na boki jak w jakimś diabolicznym tańcu. Raz jeden bark w górę, podparcie stopami, drugi bark w górę i już ma za sobą dwadzieścia centymetrów. Ile tych centymetrów jeszcze zostało?

Plecy bolą coraz bardziej. Cienki materiał, z jakiego była uszyta letnia sukienka, niedostatecznie chronił przed otarciem skóry. Starała się jak najmniej myśleć o tym, co robi, żeby nie wytracić automatyzmu w ruchach. Zupełnie przypadkowo przyszło jej do głowy, że plecy, szczególnie okolica łopatek, długo jeszcze nie będą nadawały się do pokazania na plaży. Palce też z pewnością krwawią, szczególnie ten mały, w połowie ucięty, ale to akurat w tej chwili nie ma znaczenia, bo jeżeli spadnie, wszystkie naczynia krwionośne zamkną się pod wpływem lodowatej wody, a w ogóle nie po to przecież się wspina, żeby spaść. Kiedyś musi skończyć się ta mordęga. W jedną lub drugą stronę.

Na razie idzie dobrze, chociaż w mięśniach ud utrzymuje się palący ból, który aż krzyczał, żeby rozluźniła przynajmniej jedną nogę. Nie poszła na ugodę z własną słabością, musi wytrzymać, zmaltretowane mięśnie ud muszą jeszcze wytrzymać.

W pewnej chwili zorientowała się, że robi się coraz jaśniej. Jeszcze mocniej wytężyła siły. Teraz bardziej bała się spoglądać w dół niż na początku. Jest jaśniej, coraz jaśniej i to liczy się przede wszystkim. Emilka, nie daj się! Wytrzymaj!

Karkiem wyczuła kant cembrowiny i przestała oddychać. Musi teraz zmienić pozycję ramion, które są już prawie zdrętwiałe. Oby tylko nie zawiodły w dramatycznym rzucie na taśmę!

Najpierw prawa ręka! Ze strachem odkryła, że jej ruchy stały się mocno spowolnione. A przecież trzeba ustawić tułów tak, aby kant cembrowiny znalazł się pod pachą. Czy lewe ramię zdąży pójść za prawym, aby wzmocnić siłę podparcia?

Już! Prawe ramię weszło aż pod szczelinę między betonowym kręgiem a skrzydłem daszku. Chwyt jest mocny, teraz kolej na lewą rękę z krwawiącym kikutem małego palca. Poczuła nagłe drętwienie dłoni, a przecież jednocześnie trzeba będzie zmienić pozycję nóg. Bezpiecznie, bez poślizgu.

Wsparła się prawym ramieniem tak, aby na tym boku wykorzystać jak największą siłę uchwytu. Zacisnęła zęby w ostatnim akcie koncentracji sił i szarpnęła lewym barkiem, przekręcając jednocześnie stopy palcami w dół. Robiła to cały czas prawie na bezdechu, obawiając się, że zbyt głęboki wdech lub wydech zakłóci harmonię działania.

Wreszcie mogła odetchnąć! Przedarła się poza skraj cembrowiny, opuszczając głowę po jej zewnętrznej części i naciskając jednocześnie rękami, aby przenieść ciężar ciała na drugą stronę. Ześlizgnęła się na ziemię, unosząc oba skrzydła daszku plecami zaledwie do połowy.

Organizm domagał się teraz już tylko odpoczynku, ale rozum nawet nie dopuszczał takiej myśli. Trzeba uciekać jak najszybciej i jak najdalej!

Mirosław Prandota